WIDNOKRĄG

35 (789)
28 sierpnia 1984 r.
RZESZÓW

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wstępna szpalta

„CIEŃ WOJNY"

Jestem świeżo po lekturze zbioru esejów Lesława M. Bartelskiego pt. „Cień wojny".

„Z pewnymi wahaniami przystępowałem do pisania tej książki. Zdawałem sobie sprawę, że temat jest ogromny, obejmujący nie tylko literaturę piękną, gdyż zjawisko jest niepowszednie. Ogarnia ono bowiem ten okres historii współczesnej, w którym dominowała „olbrzymia śmierć i przerażenie", jak to określał Tadeusz Gajcy" — czytamy we wstępie. Pada w nim nazwisko młodego poety, którego twórczość kojarzy się natychmiast z latami wojny i okupacji. Temu też okresowi poświęcona jest książka.

Dziesiątki lat upłynęły od tamtych czasów. Zaciera się w pamięci starszych obraz owych dni; młodsi traktują je jako jeszcze jeden etap historii, który minął jak inne etapy, bezpowrotnie. Książki, dotyczące lat 1939—1945 (literatura piękna, wspomnienia, wyniki badań), nie stanowią obecnie przedmiotu szczególnego zainteresowania. Jest tych książek wiele. Jak wiele, przekonać się można właśnie na podstawie esejów L. Bartelskiego. Przytacza on mnóstwo przykładów, nazwisk. Cytuje najistotniejsze fragmenty książek, recenzji o nich, przeplata je własnymi reminiscencjami.

Czytając eseje L. Bartelskiego, zawierające rozważania pisarza, żołnierza ruchu oporu, uczestnika Powstania Warszawskiego — trzeba sobie wraz z nim zadać pytanie, czy o latach wojny i okupacji powiedziano już wszystko, czy literatura wojenna, w której jednostkowe i zbiorowe przeżycia znalazły swoje odbicie, jest tylko dokumentem, przekazującym potomnym obraz pewnego okresu historycznego?

Zbliża się kolejna rocznica rozpoczęcia wojny, czterdziesta piąta rocznica. Za kilka miesięcy obchodzić będziemy czterdziestą rocznicę kapitulacji hitlerowskiej Rzeszy. Dwie daty, których nie zapomni Europa, nie zapomni świat. Tak, jak nie zapomina setek innych dat, zapisanych w historii, podawanych w encyklopediach, podręcznikach szkolnych, kalendarzach. Niektórzy nauczyciele będą żądali wykucia tych dat na pamięć. I uczniowie odpowiedzą (już odpowiadają), że 1 września 1939 roku dał początek II wojnie światowej, a 9 maja roku 1945 przyniósł zwycięstwo nad Niemcami. Co działo się między tymi dwiema datami, co działo się przed datą pierwszą? Odpowiedź zawrze się w kilku zdaniach, może w kilkunastu.

Daty i fakty nie oddają całej grozy lat wojny i okupacji, nie ukazują ludzkich cierpień. Stwierdzają je tylko, oddziałując w nikłym stopniu na wyobraźnię. Aby ją pobudzić, należy sięgać do wspomnień, pamiętników, do literatury ukazującej w sposób artystyczny ludzkie doznania w „czasach pogardy", w „epoce pieców". Nie wystarcza bowiem sama znajomość faktów. Trzeba tamten okres widzieć bardziej plastycznie, wielowymiarowo. Bohaterstwo i nadzieja, cierpienia i upodlenie, niepewność jutra i widmo ostatecznej zagłady — czyż można to wszystko oddać w liczbach, w statystykach?

Słysząc termin „literatura wojenna", wielu młodych wzrusza ramionami: było, minęło, po co do tego wracać, to przecież już przebrzmiała historia.

Uspokaja nas, usypia czterdzieści lat pokoju w Europie. Że gdzieś tam w Azji, na Bliskim Wschodzie, w Afryce, Ameryce Łacińskiej trwają, bądź wybuchają co jakiś czas konflikty zbrojne, wojny domowe — to sprawy tak dla nas odległe, że niekiedy z trudem je umiejscawiamy. Nie potrafimy, albo nie chcemy sobie wyobrazić, że wojna mogłaby znowu dotknąć nas samych. Generalizuję, ale obstaję przy twierdzeniu, iż potrzebne nam jest stałe pobudzanie wyobraźni. Nie dla podsycania psychozy, lecz dla wyrobienia czujności i woli czynnego przeciwstawiania się zamiarom rozstrzygania kontrowersji między państwami za pomocą wojska, rakiet, bomb, narzucania siłą swoich racji.

Sięgnijmy po książki ukazujące wojnę i okupację. Pozwólmy powstawać przed naszymi oczami obrazom tamtego czasu. Można sobie, w młodym wieku szczególnie, powiedzieć „co tam te koszmary przeszłości, cieszmy się życiem", ale będzie to lekkomyślne, nieodpowiedzialne nawet.

Cytuje L. Bartelski słowa wybitnego psychiatry Antoniego Kępińskiego z jego studium „Rytm życia": — „Jeśli symbolami tej wojny stały się Oświęcim i Hiroszima, to dzięki nim właśnie problem władzy i związany z nim problem wojny znalazły się w fazie kryzysu, wymagającego nowego spojrzenia".

Oświęcim i Hiroszima. Te dwa pojęcia symbolizują grozę wojny dostatecznie. Symbolizują postęp techniczny w dziedzinie masowego zabijania. Kilku lat trzeba było hitlerowcom, aby unicestwić w Oświęcimiu ponad 4 miliony ludzi z całej niemal Europy. Wybuch bomby atomowej nad Hiroszimą spowodował śmierć ponad 78 tysięcy, ranienie 37 tysięcy i zaginięcie 14 tysięcy osób.

Nie lekceważmy słowa pisanego, świadectwa II wojny światowej, świadectwa realizowania ludobójczych planów hitleryzmu. Czytajmy, pobudzajmy naszą wyobraźnię. I weźmy poprawkę na „osiągnięcia myśli ludzkiej" w doskonaleniu środków masowej zagłady.

ZBIGNIEW KREMPF

Jerzy Popow

„HURAGAN"

PRZED NOWYM ROKIEM SZKOLNYM — Fot. W. KIRSZNER

(FRAGMENTY REPORTAŻU ZE ZBIORU PRZYGOTOWYWANEGO DO DRUKU W KAW W RZESZOWIE)

Było to w marcu 1977 roku. Tadeusz Nowacki, rocznik 1925, mieszkaniec Brzezówki, majster do wszystkiego i zamiłowany samochodziarz, miał kłopot: nie mógł prowadzić samochodu, spuchła mu ręka w łokciu. Udał się więc do lekarza.

— Panie doktorze — mówi — coś mi się stało w tej ręce...

Lekarz ogląda, opuchlizna jest w okolicy łokcia, uszkodzenia zewnętrznego ani wykrwienia nie widać, coś się dzieje tam w środku. Ale co?

— Trzeba prześwietlić staw łokciowy. Okazuje się, że coś w ręce jest. Po oglądnięciu kliszy lekarz stwierdza:

— To metal... Kawałek metalu...

Metal w łokciu? Nowacki jest tym zdumiony, lecz szybko kojarzy go sobie z odłamkami pocisku, które usuwano mu z tej właśnie ręki w szpitalu w Tarnowie w 1946 roku. Wtedy rana była dużo niżej, nad samą dłonią lewej ręki.

— Sądziłem — dziwi się Nowacki — że mi wszystkie odłamki wyciągnięto a teraz widać, że jeden został.

Nie mniej zaskoczony był lekarz. Z wyliczenia wynikało, że odłamek ten wędrował w górę ręki przez 33 lata, aż doszedł do łokcia i tam w stawach utknął. Ręka stała się mało władna i okropnie bolała. Decyzja lekarza po obejrzeniu zdjęcia rentgenowskiego było jednoznaczna: Ponieważ wytwarza się ropień, trzeba rękę natychmiast operować. Wzięto pacjenta na stół, zoperowano, a ponieważ lekarz był jego znajomym, Tadeusz Nowacki, musiał mu całą historię opowiedzieć ze szczegółami.

— Było to w okresie, kiedy Niemcy dostawali na froncie większe lanie — zaczął Nowacki. — Walczyłem wtedy w oddziale partyzanckim „Stacha" — to był pseudonim Stanisława Jaskra, dowódcy grupy Gwardii Ludowej. Pewnego dnia zebrał nas i oświadcza: „Chłopcy, wojna się skończyła, a my sobie nie popstykomy, nie postrzelomy..." Tak sobie żartował, a zadanie było następujące: przybliżyć się nocą do szosy Dębica — Ropczyce i tam uderzyć na Niemców. Oni tą szosą kursowali na trasie Kraków — Przemyśl — Lwów. Miejsce zostało wybrane tak, że niedaleko za sobą mieliśmy las do wycofania się.

Nocą nadjechał szosą wojskowy wóz niemiecki i wzięliśmy go pod obstrzał. Pokazały się języki ognia, wóz stanął w płomieniach. No to Niemcy, zaczęli wyskakiwać i strzelać w naszą stronę. W tym czasie nadjechały dalsze samochody, od czasu do czasu któryś z żołnierzy wypuścił rakietę w górę, zrobiło się nagle jasno, że igłę możnaby znaleźć na polu. Przy takim zbiegowisku wozów nie mieliśmy co robić, bo nasza broń była kiepska, posiadaliśmy tylko kilka sztuk karabinów, pistoletów i do tego nie za dużo amunicji. Siły nierówne, nie było z czym stawać do starcia... Wtedy w walce użyto przeciwko nam jakichś działek, bo zostałem ranny odłamkami w nogę oraz w prawą i lewą rękę".

Nowacki pokazał lekarzowi prawą dłoń przestrzeloną na wylot. „Tędy mi przeszedł odłamek i wyszedł drugą stroną. Mam do dziś uszkodzone ścięgna i nie mogę z pełną swobodą władać palcami. Kiedy byłem w wojsku — nie potrafiłem salutować dwoma palcami i miałem pozwolenie na salutowanie cała dłonią. Natomiast w lewą rękę trafiły odłamki pocisku ponad dłonią. Tu są blizny i stąd mi w szpitalu wyciągano w 1946 roku odłamki. Ale wtedy, w czasie walki, największą ranę odniosłem w nodze. To była straszna rana, koledzy zaciągnęli mnie do sąsiada, do stodoły, przywalili słomą i musiałem tak leżeć. W tym domostwie i sąsiednich nie było nikogo, bo Niemcy wysiedlili wtedy Brzezówkę przy zbliżaniu się frontu. Dlatego też można było przeprowadzić tę akcję, ponieważ inaczej Niemcy spaliliby wioskę i zdziesiątkowali ludzi.

Leżałem tak sam i czekałem co będzie dalej, czy hitlerowcy zaczną szukać. Ale nie... Nasi wycofali się do lasu, a oni byli za ostrożni, aby w nocy iść w las. Kiedy skończyła się akcja, przyszło po mnie dwóch kolegów, krew ze mnie uchodziła, bo nie byłem opatrzony, oni przyjechali furmanką, załadowali mnie na nią i zawieźli za las do siostry ojca. I tam dopiero sprowadzono do mnie doktora Tapera z Ropczyc, udzielił mi pierwszej pomocy, zaopatrzył, bo te wszystkie rany broczyły.

Później, po wyzwoleniu, zajęli się mną lekarze radzieccy. Przy dłoni nie mieli co robić — odłamek przeszedł na wylot, ale z lewej ręki wyciągnęli dwa odłamki, a tego trzeciego — nie znaleźli. Dopiero teraz doktorze, po 33 latach, ujawnił go rentgen...".

* * *

Tragiczna noc z 12 na 13 lipca 1943 r. Niemcy przyszli do domu Piotra Nowackiego — żołnierza Gwardii Ludowej. Żołnierzem GL był także jego syn — Tadeusz, pseudonim „Huragan". Tej nocy Niemcy zabrali najmłodszego z Nowackich, 13-letniego Edmunda, na roboty do Niemiec. Mundek zapakował rzeczy na wyjazd w walizkę, w której ukryte były wcześniej pod obiciem nielegalne gazetki. Był to bagaż niezwykle niebezpieczny dla całej rodziny, ale o tym wiedział tylko aresztowany Piotr Nowacki — nikt więcej.

Po tej tragicznej nocy, rozpoczął się dla Tadeusza Nowackiego nieprzewidziany rozwój wydarzeń:

— „Tej nocy spałem z młodszym bratem Mundkiem na jednym łóżku. Niemcy przyszli do domu, zaraz ojca zakuli w kajdanki, mnie wylegitymowali, bratu kazali pakować się, brać rzeczy na wyjazd. Równocześnie inni rozrywali łomami podłogę, szukając broni i gazetek. Niemiec wziął do ręki walizkę, ojciec struchlał, bo w niej były zadekowane nielegalne gazetki, ale on walizkę dał bratu, aby wziął ze sobą jakieś rzeczy. Ja leżę dalej w łóżku, bo jak tylko przyszli, to zakazali mi się poruszać. Jeden z nich wyciągnął kenkartę z marynarki zarzuconej na krzesło oraz ausweis, taką legitymację zaświadczającą o pracy w niemieckiej firmie wojskowej na terenie dzisiejszego Stomilu w Dębicy. Kiedy stwierdził, że jestem zatrudniony w firmie wojskowej, powiedział do mnie: „Gut, gut, weiter schlafen...". Kazał mi spać dalej, a jak ja mogłem spać, kiedy ojciec skuty, brat wywożony, a podłoga haratana łomami.

Skończyli rewizję. Nic nie znaleźli. Zabrali ojca, zabrali brata, ja zostałem sam i nie wiedziałem co mam robić. Musiałem iść do roboty. Ulokowali mnie w firmie wojskowej. Było tam dojście do amunicji, a nawet broni przychodzącej z frontu na uszkodzonych samochodach przeznaczonych do naprawy. Miałem tam różnych kolegów, jeden był z Batalionów Chłopskich w innej miejscowości i wspomagaliśmy się — jeśli który znalazł amunicję, to brał co mu pasowało i informował drugiego, że tam są jeszcze granaty czy naboje. W pojazdach przyjeżdżających prosto z frontu do naprawy takie resztki amunicji pozostawały bardzo często. Wybraną amunicję szwarcowałem się nie przez bramę, gdzie rewidowano, ale przez druty, przez parkan, na drugą stronę i wracało się z nią do domu. Przyniosłem, pracując w tej firmie, dwa karabiny i trzy pistolety, a amunicji ile się dało.

Ponieważ działalność ta była dla oddziału ważna, urabiałem sobie tam wszystkich, których mogłem wykorzystać do dozbrojenia gwardzistów. Dobrze żyłem na przykład z majstrem, SS-manem, któremu na froncie urwało nogę i chodził na protezie. Lubił mnie, jako chłopca, który przynosił mu ze wsi to samogonu, to masła, to jajek, a nasz nabiał Niemcy wysoko cenili. Od czasu do czasu zapraszałem go do nas do domu, on przystawał na to, bo ojciec dobrze mówił po niemiecku i mogli sobie pogadać, a ja na taki wyjazd po godzinach pracy, kiedy przygotowywałem samochód, ładowałem do niego albo naboje, albo granaty. On zasiadał za kierownicą, wyjeżdżaliśmy oczywiście bez rewidowania za bramę, kiedy przyjechał to zajął się nim ojciec, stawiał na stół bimber, popijali, a ja w tym czasie rozładowywałem wóz. Po takiej wizycie partyzanci śmiali się, że esesman sam im amunicję przywozi...

Za wiele tej amunicji na jeden raz nie brałem, ale zdarzało się, że kiedy znalazłem pasującą do posiadanej przez nas broni to wynosiłem ją nawet przez bramę, na której rewidowano. Miałem tam urobionego takiego dziadka - wartownika, Niemca, któremu dawałem fasowane papierosy „Mewa". Mówił wtedy: „Gut, gut, danke, danke...". Cieszyło go to. Tak się przy tym składało, że ja wychodziłem z zakładu po pracy jako pierwszy za pięć osiemnasta, miałem na to specjalne pozwolenie, abym mógł zdążyć do pociągu. Kiedy więc dziadek stał na bramie, to pokazywałem przepustkę, a on tylko mówił: „Gut, gut, weiter, weiter...", abym szedł dalej.

W tej firmie pracowali też dwaj synowie granatowych policjantów i kumplowałem z nimi, bo zawsze można było coś się od nich dowiedzieć o uwięzionych, ponieważ ich ojcowie pełnili służbę w więzieniu. W pierwszym dniu po akcji w Brzezówce, której ofiarą padł także nasz dom prosiłem ich, by zapytali swych ojców, czy mój jest w więzieniu. Na drugi dzień powiadomili mnie, że tam jest, a więzienni policjanci dobrze znali mego ojca z okresu przedwojennego, ponieważ pełnili wtedy służbę w Paszczynie, ojciec zaś należał do ludowców znanych policji z antyrządowej działalności. Na moją prośbę, jeden z ojców tych kolegów — tak urobiłem sprawę — pozwolił mi na wejście do więzienia i krótkie, dwu — trzyminutowe zobaczenie się z ojcem.

Poszedłem do więzienia, kiedy policjant

(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

Agata Bednarz

Ojcu

Ilekroć szłam przez wzgórza dojrzewających łąk
nikt nie odwracał twarzy
zajęty czuwaniem
szłam daleko pod wiatr z horyzontem
gdzie cisza zarasta wołaniem
z lasu wychodziły najpiękniejsze sarny
ich oczy prosiły o świt
a właśnie zbliżała się północ
Który wiesz za jaką górą słońce zachodzi
ocal nasze ręce by w nich
losy bliskich zostały jak kłosy
pośród żniw
Ocal też sarny z oczami gazeli
z oczami naszych braci
niech ich doskonała przejrzystość
ma zapach wiecznie dojrzałej trawy
Wróćcie obszary, których widok się skurczył
do kształtu łzy dziecka
Ono jeszcze stoi za oknem wśród pelargonii
i wie że to, co dobre
ma smak lizaków kulistych jak słońca
bo jest wiele słońc na huśtawce
w nowym elementarzu bez słów
gdzie grona białej czeremchy dojrzewają
nie zgaszone nagłym deszczem ujściem rzeki
w dosłowności, z której nie wynurzy się człowiek
Który wiesz ile jest światów poza naszymi oczami
uchroń ślepców oni widzą stale
swoje tęcze lasy krajobrazy
światło które rodzi się w nich poza doznaniami
siwych filozofów
Wróć nam mądrość jak garść kwiatów jesienią
które nie zasychają jeszcze
pełne wilgoci
Samotnym być nie można
gdy się wyjdzie na wzgórza tak
o każdej porze jak teraz
tak łaskawej dla Ciebie Ojcze

JAK PRZYJMOWAĆ NA STUDIA? — NORMALNIE

Nie miałem zamiaru zabierać głosu w dyskusji na ten temat. Powiedziano i napisano w tej sprawie dużo. Może nawet za dużo.

Skoro jednak zdecydowałem się, to dlatego, by uzewnętrznić dręczące mnie myśli stanowiące wynik pytania: Jak przyjmować na studia?

Normalnie. Co to znaczy? Bez punktów za pochodzenie, bez taryfy ulgowej za urodzenie na wsi czy w mieście, pod strzechą czy w willi.

Profesor Stanisław Pigoń w okresie nie sprzyjającym edukacji chłopskich dzieci szedł z Komborni w świat, stając się jednym z największych polskich uczonych. Bez punktów, mając wiele utrudnień. To przykład może nietypowy, bo przedwojenny, wyjątkowy ze względu na nieprzeciętną osobowość Stanisława Pigonia. Weźmy więc lata pięćdziesiąte naszego wieku, pierwsze dziesięciolecie Polski Ludowej, która zrewolucjonizowała oświatę, otwierając podwoje wszystkich szkół, w tym i szkół wyższych, dla wszystkich, bez punktów, bez preferencji za pochodzenie społeczne, bez zróżnicowań w tym względzie. I wówczas garnęła się młodzież chłopska i robotnicza, i inteligencka na studia. Najwięcej może chłopska, odrabiając niezawinione zaległości ojców i dziadów. Ubiegała się o indeksy, może łatwiejsze niż dziś, biorąc pod uwagę miejsca na uczelniach, ale trudniejsze w sensie samodzielnego przygotowywania się do egzaminów, bez punktów. Decydował egzamin. Później, w połowie lat pięćdziesiątych, dochodziły tzw. czynniki społeczne. Były to już plamy. Ciemne plamy. Niełaskawym okiem spoglądano na życiorysy synów „kułaków", którzy mieli częstokroć trudniejsze warunki od tych średniorolnych czy małorolnych. Przeszło. Wypuszczono pierwszych inteligentów z chłopów i robotników. Inteligencja nabrała nowych rumieńców. I ta inteligencja pierwszego pokolenia, która wchodziła w nową warstwę społeczną wzmożonym wysiłkiem, wyrównując braki w poziomie edukacji zaniedbanych szkółek, teraz jest pokrzywdzona. Jej dzieci i dzieci „zasiedziałej" inteligencji w miastach nie mają punktów. Nie mają, bo są inteligentami. Nie mają, bo podobno żyją w lepszych warunkach. Dzieciom chłopskim i robotniczym rzuca się przynętę punktową, bo niedouczone, bo oświata na wsi, mimo reformy, ciągle w tyle. To prawda. Ciągle w tyle. Chociaż nie jest to reguła. Są szkoły wiejskie wcale niezłe, niejednokrotnie lepsze od tych dobrze wyposażonych szkół w mieście. Bo i w gorszych warunkach można osiągnąć, oczywiście przy wzmożonym wysiłku, dobre wyniki. Dużo zależy od motywacji. Od chęci. Motywacji nauczycieli i uczniów, i rodziców. A tymczasem wiele dzieci pochodzenia chłopskiego i robotniczego, zarażone poglądami swoich rodziców nie tęskni za uczelniami, lecz za „szmalem", a tego nie daje dyplom uniwersytecki, nawet z politechniki. Obecnie pieniądze daje dobry fach, który można zdobyć nawet bez zasadniczej szkoły zawodowej, bez technikum, jakiś tam kurs palaczy, spawania, traktorzysty, operatora, samochodowy, później trochę praktyki i jest pieniądz. Chłop i robotnik bierze pod uwagę te fakty. Umie patrzeć na istniejącą rzeczywistość trzeźwo, praktycznie. Może za praktycznie, nie doceniając edukacji szkolnej, która powinna dawać możliwości rozwoju osobowości, sprzyjać ogólnej kulturze, której tak potrzeba każdemu człowiekowi. Ale czy należy się dziwić? Kto z dyplomem w ręce, pracujący zgodnie z kierunkiem wykształcenia, potrafi się zrównać, biorąc pod uwagę pozycję materialną, z tym, który ma jakiś tam „świstek" (bo tak nazywa swoje zaświadczenie)?

Czy taka sytuacja nie jest tym podstawowym czynnikiem niedoboru na wyższe uczelnie kandydatów pochodzenia chłopskiego i robotniczego? Czy punktami potrafimy odwrócić ekonomię w naszym kraju?

Więc wróćmy do pytania: Jak przyjmować na studia?

Normalnie. Wszystkich jednakowo. Dla wszystkich jednakowy egzamin. Egzamin, w którym sprawdza się nie to, czego się nie uczono w szkołach (bywają podobno na niektórych kierunkach takie testy, które wymagają wiedzy wykraczającej poza program szkoły średniej), egzamin z wiadomości objętych programem. Egzamin z myślenia. Egzamin z umiejętności zastosowania wiedzy, egzamin z nawyków samokształceniowych. Egzamin z zainteresowań. Słowem — egzamin, poprzez który, dzięki któremu można byłoby choć trochę obiektywnie, sprawiedliwie, w sposób humanitarny sprawdzać nie tylko dyspozycje instrumentalne, ale i dyspozycje kierunkowe, niezbędne dla kandydata, walczącego o indeks wyższej uczelni.

Czy to realne? Nie wiem. Wiem, że trudne, i wiem, że konieczne. Ale to byłoby normalne. I nad tym należałoby, moim zdaniem, podyskutować.

A jak pomóc tym chłopskim i robotniczym dzieciom?

Podnieść poziom szkół wiejskich. Dzieci z rodzin robotniczych zaniedbanych otoczyć specjalną opieką. Jak to robić? To już sprawa pedagogów. Niech oni to przedyskutują pod warunkiem, by był tego konkretny efekt. Bo bywa i tak, że przez czterdzieści lat Polski Ludowej ciągle mówimy o podwyższaniu wyników nauczania, a one jakoś podnieść się nie chcą!

I jeszcze ostatnia uwaga w tej materii.

Doceniajmy dyplomy wyższej uczelni. Zrównajmy je przynajmniej z zaświadczeniami, np. zaświadczeniem czy świadectwem hydraulika!

JULIAN KANIA
Rzeszów

Wojciech Furman

Glossa do recenzji

ROZDARTY CZY ZAGUBIONY?

Moim zdaniem, tytuł książki Czesława Wołczyńskiego „Rozdarcie", recenzowanej w poprzednim „Widnokręgu", nie jest adekwatny do treści. Bohater książki nie rozumie wydarzeń, które dzieją się wokół niego. Jest to zatem nie tyle rozdarcie, co zagubienie.

To oczywiste, że nie jesteśmy w stanie w pełni zdać sobie sprawy z tego, co dzieje się współcześnie. Znany aforyzm Hegla mówi o sowie Minerwy, która wylatuje o zmierzchu. Mądrość przychodzi po zakończonym dniu, który można w pełni zrozumieć i ocenić właśnie dlatego, że się skończył.

Współczesny brytyjski historyk A. J. P. Taylor używa innego przykładu. Stwierdza mianowicie, że historyka badającego minione wydarzenia można porównać do obserwatora partii pokera. Obserwator widzi karty, jakie mają w rękach poszczególni gracze, wie jakie karty znajdują się na stole i nawet w jakiej kolejności. Mógłby zatem oceniać postępowanie graczy i rozważać możliwości innego przeprowadzenia rozgrywki. Byłaby to ciekawa gra umysłowa, jednak zadaniem historyka — według Taylora — jest dać dokładny opis tego co się wydarzyło, a wyciąganie morałów powinien pozostawić czytelnikom.

Czy zagubienie bohatera „Rozdarcia" można zatem usprawiedliwić w ten sposób, że po prostu tkwił on pośrodku wydarzeń, był graczem ale nie widział wszystkich kart? Nie znał finału wydarzeń i dlatego nie mógł prawidłowo orientować się?

Otóż po pierwsze powieść dotyczy nie tylko lat 1980—81. Zawiera także retrospekcje z całej właściwie historii Polski Ludowej. Są to nie tylko okazjonalne wspomnienia. Jest to żywa, wręcz piekąca pamięć okresu wyzwolenia, walk z bandami, lat odbudowy, czerwca i października 1956 roku, grudnia 1970. Bohater dużo przeżył, można szablonowo powiedzieć, że rósł wraz z Polską Ludową. Te doświadczenia okazały się jednak niedostateczne i z młodego, ofiarnego zetempowca wyrósł zdezorientowany i zagubiony członek partii. Jego poglądy pozostają na poziomie potocznych, zdroworozsądkowych opinii. Historia dzieje się od kryzysu do kryzysu, przywódcy partii nie dotrzymują obietnic i zawodzą zaufanie społeczeństwa. Do głowy mu nie przychodzi, że niczego co poważne nie zmienia się bez wysiłku, a na trudnej drodze potknięcia, załamania, niekonsekwencje i błędy są także ceną płaconą za postęp. On po prostu uwierzył w propagandę łatwych sukcesów.

Książka Czesława Wołczyńskiego stanowi rzetelną dokumentację sposobu myślenia znacznej części społeczeństwa, w tym sporego odłamu klasy robotniczej. Jest to najważniejsza i bezsporna zaleta tej książki. Nie wiemy, ilu było takich członków partii, jak bohater „Rozdarcia". Nie ulega jednak wątpliwości, że była to grupa znacząca.

Wyłania się jednak najpoważniejsze pytanie: dlaczego tak myśleli? Dlaczego bohater „Rozdarcia" pozostał bierny, zagubiony, nie rozumiejący? To pytanie jest nadal aktualne i stale uzupełniamy na nie odpowiedź.

Książkę Czesława Wołczyńskiego odczytuję jako oskarżenie, argument i przestrogę. Wyjaśnię to po kolei.

Oskarżenie autor kieruje pod adresem ułatwionej propagandy zalet socjalizmu i odejścia od klasowych podstaw polityki. Dobrze pamiętamy ten pogodny obrazek z niedalekiej przeszłości: zostały dokonane podstawowe reformy, nie ma sprzeczności klasowych, wystarczy dobrze pracować, a rozwój będzie odbywał się gładko ku rosnącej obfitości dóbr materialnych i powszechnemu zadowoleniu. Bohater „Rozdarcia" w to uwierzył i teraz, kiedy przychodzi czas próby, kiedy wyszły na jaw nierówności i sprzeczności, kiedy oprócz beneficjantów są także pokrzywdzeni — on nie potrafi samodzielnie oceniać wydarzeń politycznych. Doświadczenia z przeszłości nie dają mu żadnych wskazówek postępowania, ze szkoleń partyjnych ani ze studiów nie wyniósł potrzebnej wiedzy.

A może jest to zjawisko szersze? Może postawa bohatera jest przejmującym świadectwem końca pewnego etapu budowania socjalizmu? Nazwijmy ten etap umownie „odgórnym", czyli takim, w którym wobec oczywistych potrzeb odbudowy i budowania podstaw uprzemysłowienia wystarczało po prostu ciężko pracować i wypełniać centralnie opracowane plany? Dzisiaj widzimy wyraźniej, jak wiele dzieli ten etap od współczesnych nam samorządów pracowniczych, dyskusji nad CPR, samodzielnych rad narodowych i inspekcji robotniczo-chłopskiej.

Książka stanowi argument przemawiający za koniecznością stanu wojennego. Z tego zdezorientowania i zagubienia nie było innego wyjścia. Tym bardziej że postawa bohatera nie była odosobniona. W masie — stawiała się groźna.

Książka jest także przestrogą, skierowaną do nas i jak najbardziej aktualną. Minęło kilka lat, ale czy bohater rzeczywiście się zmienił? Zapewne dzisiaj jest nadal członkiem partii, wstąpił do związku zawodowego został wybrany do rady pracowniczej lub na radnego. Z pewnością wziąłby udział w wyborach. Ale co zrozumiał z dramatycznych doświadczeń opisanych w książce? Czy i na ile zmienił się jego obraz socjalizmu?

Autor „Rozdarcia" jest pracownikiem wielkiego zakładu przemysłowego. Udowodnił, że potrafi obserwować i pisać. Czekamy zatem na ciąg dalszy „Rozdarcia".

Mieczysława Teodorczyk

PORA NA DECYZJE

Aktyw społeczny Beska w województwie krośnieńskim rozesłał pisma do wojewódzkich i centralnych instytucji. „Pomóżcie wprowadzić do planu rozbudowę szkoły podstawowej we wsi. Uczęszcza do niej 620 dzieci, które uczą się w dziesięciu izbach, na trzy zmiany, do godz. 19. Warunki lokalowe szkoły nie odpowiadają zasadom higieny pracy i bezpieczeństwa. Nauczyciele uczą również w sali klubu „Ruch", w mieszkaniu pozostałym po byłym dyrektorze, w maleńkiej kuchni, w budynku gospodarczym, a w razie złych warunków atmosferycznych zajęcia wf odbywają się na korytarzach. W czynie społecznym wieś wyasfaltowała drogi, wybudowała ośrodek zdrowia, dom handlowy, stadion z halą sportową. Obecnie wznosimy własnymi siłami przedszkole, dom nauczyciela. Pomóżcie wybudować nam szkołę, by nasze dzieci i nauczyciele nie musieli się już tak męczyć".

Przewodniczący społecznego komitetu budowy szkoły Karol Kijowski opowiada z frustracją o tym, jak od 15 lat mieszkańcy Beska bezskutecznie zabiegają o budowę szkoły w czynie społecznym, jak ich przez te lata nabijano w butelkę obiecywano, obiecywano, a czas leciał..." My we wsi mamy silny aktyw, wielu doświadczonych działaczy społecznych. Wspomnę tylko o kilku: o sołtysie Sanisławie Szulu, Józefie Kwiatkowskim, Marii Zielonce i Macii Mermer. My wszyscy świecimy oczami przed wsią. Mieszkańcy po tylu latach walki o wprowadzenie szkoły do planu są nieufni, nie wierzą nikomu, obwiniają gospodarzy terenu za nieudolność".

Wieś zebrała milion złotych na opłacenie dokumentacji, która z końcem roku będzie gotowa. Z wielkim trudem dokonuje się zamiany działek leżących w granicach planów rozbudowy szkoły. Jest problem; przyszło pismo od wojewody, że działki klasy czwartej nie można przeznaczyć na cele pozarolnicze.

— Strach pomyśleć co się będzie we wsi działo, kiedy tej sprawy nie da się pozytywnie załatwić — mówi z-ca dyrektora ZSG Maria Zielonka. Agitowaliśmy przed wyborami, że szkoła wejdzie lada moment do planu. Ludzie ponownie nam uwierzyli, głosowali prawie wszyscy uprawnieni, poparli nas i partie. Czekamy na jednoznaczna decyzje, a nie na zbywające nas pisma takie jak ostatnio do nas przyszło bez daty, bez pieczątek z Wojewódzkiej Komisji Planowania. Podpisał je z-ca przewodniczącego Adam Hepnar: w piśmie czytamy: „Wprowadzenie tematu do planu na lata 1986—1990 rozważone będzie w pierwszej kolejności wśród wielu innych pilnych zadań"...

Kolejny zryw społeczny w Besku nie może pójść na marne. Właśnie teraz, kiedy Rada Krajowa PRON ogłosiła apel do wszystkich obywateli o wzięcie udziału w powszechnym Narodowym Czynie Pomocy Szkole. Zachęcamy do powoływania społecznych komitetów budowy i modernizacji istniejących obiektów oświatowych gromadzenia społecznych funduszy i materiałów budowlanych. (...) Obecne potrzeby polskiej oświaty wymagają narodowego zrywu wzmożonej społecznej ofiarności, obywatelskiego działania. Wysiłek społeczeństwa wymaga intensywnego wsparcia ze strony władz i instytucji państwowych".

Kłopoty oświaty w Besku są typowe. Trudności lokalowe szkół narastały przez lata. Teraz w obliczu wyżu demograficznego, który będzie nam towarzyszyć do pierwszych lat dziewięćdziesiątych trudności zaczynają się spiętrzać. Na fali tych potrzeb zrodziła się konieczność opracowania rządowego programu rozwoju bazy oświatowej.

W rozmowie ze mną inspektor wojewódzki KOiW w Krośnie Stefania Kluk stwierdziła: „Szkołę w Besku włączymy do planu na rok 1986. Czekamy na dokumentację. Taka inwestycja kosztować będzie blisko 200 mln zł. Buduje się szkołę w Cieklinie, w planie najbliższym — Łubnie. Wznoszonych jest 11 szkół o 248 pomieszczeniach do nauki i 3 przedszkola na 1 200 miejsc, 54 mieszkania dla nauczycieli i 1 pełnowymiarowy basen pływacki w Krośnie. W tym roku rozpocznie się w czynie społecznym budowę szkoły w Łajscach.

Coraz częściej na apel PRON podejmowane są czyny społeczne. Są one koniecznością z uwagi na olbrzymie koszty inwestycji. Nowa szkoła kosztuje bardzo drogo. SP w Sowinie kosztuje 34 miliony, w Baligrodzie 32 mln, w Święcanach 42 mln. Ale tam mieszkańcy bardzo dużo pomogli.

• • •

Cieszy każdy odruch aktywności podtrzymujący tradycję czynów społecznych. Jednakże nie można niczego robić na „hurra". Każdy czyn powinien być przemyślany. Trzeba rozważyć sposób jego realizacji, możliwości surowcowe i siły wykonawcze, tak by było to przedsięwzięcie udane i doprowadzone do końca. Nie może to być jeszcze jeden powód do społecznych zniechęceń i rozgoryczeń. Tak jak zdarzyło się w Besku.

Rybim okiem. CAF — ZBIGNIEW STASZYSZYN

100 NOWYCH FILMÓW POWSTAJE W WFO

Któż nie zna znakomitych filmów przyrodniczych Włodzimierza Puchalskiego? Powstały one, podobnie jak setki innych obrazów ukazujących świat przyrody, dalekie kraje, folklor, sztukę, osiągnięcia nauki i inne dziedziny życia, w Łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych. Wiele tych krótkich, lecz o wysokim poziomie artystycznym i niosących duży ładunek wiedzy filmów oglądaliśmy w kinach ,a jeszcze więcej na ekranach telewizorów. Zapoczątkowana w 1969 r. współpraca wytwórni z Telewizją Polską nabrała dużego rozmachu. Wystarczy powiedzieć, że od tego czasu WFO wyprodukowała dla telewizji ponad 350 filmów. Obok małych form, tzw. teledysków, pojawiły się też filmy pełnometrażowe. Na zamówienie telewizji zrealizowany został m. in. znany widzom polskim, a także austriackim oraz w RFN utwór Lucyny Smolińskiej i Mieczysława Sroki pt. „Na odsiecz Wiedniowi". W ostatnich dwóch latach około 40 proc .produkcji WFO realizuje dla telewizji.

Wytwórnia Filmów Oświatowych w Łodzi powołana została w 1949 r., a zatem istnieje 35 lat; czy więc jubileusz?

— Niczego takiego nie planujemy — powiedział w rozmowie z dziennikarzem PAP dyrektor WFO doc. dr Maciej Łukowski — nie ma fanfar i fajerwerków. Chcemy natomiast w jubileuszowym roku maksymalnie spopularyzować dorobek wytwórni, pokazać ludzi, których praca nań się złożyła i ich dzieła. W tym celu zorganizowany został w Łodzi przegląd filmów telewizyjnych WFO. Obecnie odbywa się prezentacja tego dorobku na małych ekranach, w postaci cyklu pt. „WFO przedstawia" Co sobotę w II programie TV można będzie obejrzeć 2—3 tego rodzaju filmy. Kolejne cykle zaprezentują filmy etnograficzne, naukowe; myśli się też o przeglądzie filmów np. rolniczych, sportowych itp. Prezentacja odbywać się będzie z udziałem twórców.

Dzięki małemu ekranowi, już wcześniej widzowie w całym kraju mieli możność poznania dokonań wytwórni. W 1961 r. telewizyjne „Kino krótkich filmów" emitowało wybrane pozycje zrealizowane w WFO. W późniejszych latach można było oglądać w programie ogólnopolskim cykle „Nauka i kamera", „Wiedza i film", „Malarstwo i film", „Ze skarbnicy kultury polskiej", „Tajemniczy świat przyrody", „W kręgu kultur i obyczajów", „Przed i po debiucie", „Tajemnice i sensacje małej kinematografii", „Droga na ekran", „Filmowy świat przyrody". Niestety, filmy oświatowe z trudem torują sobie drogę na ekrany czy do widzów, dla których je robiono. Z rozpowszechnianiem filmów krótkometrażowych nadal nie jest najlepiej.

— Sytuacja zmieniła się nieco od czasu, gdy sami rozpoczęliśmy wykonywanie kopii eksploatacyjnych — mówi dyr. Łukowski. Rolnictwo i służba zdrowia zdołały zorganizować własne systemy rozpowszechniania interesujących ich filmów. Najgorzej sprawa wygląda w resorcie oświaty, choć były plany szerokiego wykorzystania filmu w procesie edukacji młodzieży szkolnej.

— Wróćmy jednak do dnia dzisiejszego. Co się dzieje w wytwórni w pełni jubileuszowego lata?

— Praca idzie pełną parą. W produkcji jest 100 nowych filmów. Z ostatnio ukończonych można wymienić 4 kolejne filmy o organizmie ludzkim zrealizowane przez Józefa Arkusza, który ma w tej dziedzinie znakomite osiągnięcia. Andrzej Sapija kończy film o Tadeuszu Kantorze, będący monografią tego znanego artysty. Stanisław Janicki rozpoczął przygotowania do realizacji filmu pt. „Sąd nad Braćmi Polskimi" — będzie to historia arian polskich.

— W jaki sposób WFO pozyskuje reżyserów, by móc jednocześnie realizować tyle filmów?

— Na etatach mamy 30 reżyserów, a liczba stale współpracujących z wytwórnią sięga 108. Obecnie powstające filmy realizują zarówno twórcy od lat związani z WFO, jak Józef Arkusz, Leszek Skrzydło, Andrzej Szczygieł, Bolesław Bączyński czy Witold Żukowski, jak i ponad 20 młodych ludzi — absolwentów łódzkiej i katowickiej szkoły. Z dopływem kadr wytwórnia nie ma więc kłopotów. Gorzej sprawa wygląda ze środkami technicznymi. Nie wymieniany od dawna z powodu braku środków dewizowych sprzęt zaczyna się „sypać". Najdotkliwiej odczuwa się jednak brak odpowiedniej ilości taśmy pozytywowej, której w Polsce nie produkuje się, a z importem kiepsko.

Aby jednak tę jubileuszową rozmowę zakończyć optymistycznie, warto wspomnieć o efektach międzynarodowej współpracy. Zakończona została raelizacja w koprodukcji z „Lennauczfilmem" filmu pt. „Jan Promiński". Z kolei w koprodukcji z kijowską Wytwórnią Filmów Popularno-Naukowych powstają „Piosenki z samowara". Trwa realizacja filmu o Józefie Bemie — w koprodukcji z Wytwórnią Filmów Krótkometrażowych w Budapeszcie. Rozwój kontaktów międzynarodowych świadczy, że łódzka WFO ma wyrobioną markę nie tylko w kraju.

Rozmawiała: **IRENA BECK (PAP)**

„HURAGAN"

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

ten pełnił służbę i zobaczyłem ojca. Był strasznie pobity. Ojciec pytał o brata. Mówię, że Mundek prawdopodobnie jest w getcie, bo tam trzymają ludzi na wywiezienie do Niemiec. Dopiero wtedy, tam w więzieniu, ojciec powiedział, że w obicu pokrywy walizki są schowane ulotki i gazetki, o których ani ja, ani Mundek nic nie wiedzieliśmy. Mówił, że muszę je odzyskać, bo to dowód przeciwko nam. Nie wolno gazetek zostawiać w walizce, niebezpieczeństwo grozi Mundkowi i nam, jeśli je znajdą.

Jak dostać się do getta? Jak odszukać Mundka? Miałem żołnierską łopatkę i postanowiłem podkopać się pod druty. Chodziły tam także posterunki, ale musiałem zaryzykować. Ludzie mówili, że w drutach kolczastych jest prąd, uważałem więc, aby ich nie dotknąć. Tak znalazłem się w getcie. Jak tu teraz znaleźć brata, przecież ludzi jest masa! Było tam kilka baraków, wchodzę do nich i pytam o brata i o innych zabranych, aby od nich dowiedzieć się coś o Mundku. Na szczęście nie było w środku jakichś posterunków wewnętrznych. Trafiłem na ślad brata poprzez Jana Tokarza, o którego też pytałem. Jego narzeczona, następnie żona siedziała w pobliżu Mundka i tak dowiedziałem się, w którym baraku mogę go znaleźć. Odszukałem go i mówię: „Mundek, wyjdź, mam do ciebie sprawę...". On nawet nie wiedział, że wystrzelali ludzi na wsi, opowiedziałem mu o ojcu, pytam go, gdzie ma walizkę. Była w baraku. Kazałem ją przynieść, z pokrycia tej walizki wydostałem ukryte gazetki i schowałem je za cholewkę buta i przywiązałem chusteczką. „Ani nie przyznawaj się nikomu, że widziałeś jakieś gazetki, bo bylibyśmy wszyscy aresztowani" — ostrzegałem go. Pożegnaliśmy się i jak szczęśliwie przyszedłem, tak szczęśliwie wyszedłem. A tego dołu, co wykopałem, to nawet nie zawalałem, nie było na to czasu.

Tak mi upłynęły pierwsze dni po pacyfikacji, najpierw na załatwieniu spraw związanych z zobaczeniem ojca w więzieniu, a później na dostaniu się do getta i odzyskaniu gazetek z walizki brata. Mniej więcej po tygodniu otrzymałem nakaz z gestapo, aby stawić się na przesłuchanie o godzinie dwunastej w południe. Nie wiedziałem o co chodzi. Później przekonałem się, że Niemcy chcieli uzyskać jakieś informacje o partyzantach w naszej wiosce, bo ci uwięzieni milczeli, a inni — w tym moi krewni Wanda Chlędowska i Edmund Chlędowski — zostali rozstrzelani, a przedtem nic nie zdradzili.

Trafiłem na przesłuchanie i ja. Znalazł się taki gestapowiec, który chciał przekonać się, czy potrafię posługiwać się bronią. Jeśli tak, to wiadomo, ktoś musiał mi to pokazać. Daje więc pistolet w moje ręce i pyta, czy wiem jak się z nim obchodzić. Był na tyle przezorny, że wcześniej wyjął w szufladzie, tak żebym nie widział, kule z magazynku. Podaje mi ten pistolet i pyta jakbym się nim posługiwał. Ja udaję głupiego, nie bardzo wiem jak brać ten pistolet, zamiast za rękojeść chwytam za lufę, oglądam go na wszystkie strony i pytam czym to się rusza, żeby hukło.. A on już nerwowo nie wytrzymał, chwycił ten pistolet i tak mi przyrżnął nim w głowę, że cztery dni w domu leżałem półprzytomny. A guz mam do dnia dzisiejszego.

• • •

Walka o szyny rozgrywała się na wielu płaszczyznach. O zupełnie nieznanym epizodzie związanym z Brzezówką usłyszałem od „Huragana" — Tadeusza Nowackiego. Na ogół grupa „Stacha" działała zespołowo, tym razem zadanie przypadło do wykonania jednej tylko osobie.

— „Wyznaczono mnie do tej akcji, ponieważ pracując w wojskowej firmie niemieckiej w Dębicy miałem ausweis wojskowy, który pozwalał mi na poruszanie się w godzinach nocnych, w okresie godziny policyjnej i Niemcy go respektowali. Kiedy jechałem na rowerze i zatrzymywali mnie, to po wylegitymowaniu mówili: „Gut, gut, weiter...", że mogę jechać dalej. Otóż Chlędowski i mój ojciec mieli znajomego kolejarza i prawdopodobnie od niego — Jacha z Czekaja, doszła do nich informacja, że nocą będzie jechał specjalny pociąg pospieszny wiozący z frontu między innymi oficerów niemieckich z jakiejś narady. Dostałem wtedy rozkaz rozkuplowania pociągu towarowego na trasie między Ropczycami a Dębicą, tak aby nadjeżdżający pospieszny wpadł na te wagony i zrobił się karambol. Pouczono mnie jak się takie wagony rozłącza, jak to robić kiedy pociąg rusza i w czasie jazdy.

Rozkaz dostałem — poszedłem wykonać. W okolicy stacji w Ropczycach wsiadłem do pociągu towarowego i starałem się odczepić trzy ostatnie wagony. Na akcję tę wziąłem ze sobą rewolwer, siódemkę, abym miał się czym bronić, gdyby mnie dopadli, poza tym byłem zdany na własną pomysłowość. Zacisnąłem hamulec ręczny, trochę przytarłem go powietrzem, miałem przygotowany kupląg do rozpięcia, odkręciłem śrubę do oporu, kiedy wagony dobiły, ja wtedy kupląg rozrzuciłem, powietrze było już zamknięte, bo byłem na to przygotowany, węże miałem rozpięte i siup — pociąg poszedł, a ponieważ miałem już zakręcone w wagonach hamulce ręczne — wagony stanęły na trasie i zatarasowały tory. Tylne lampy wygasiłem, aby nie było świateł ostrzegawczych i aby pospieszny uderzył w te wagony z całą siłą.

Tak się jednak złożyło, że o tej nocnej porze nadjechał jakiś volksdeutsch, zobaczył luźno stojące wagony na torach na trasie, zaalarmował kolejarzy ze stacji w Ropczycach, ci dali znać do Sędziszowa, aby wstrzymać pospieszny, bo jakieś wagony urwane stoją na torach, ściągnęli te wagony, przepuścili pospieszny — do karambolu nie doszło".

• • •

W kwietniu 1982 roku Tadeusz Nowacki pseudonim „Huragan" wstał pewnego dnia z twarzą w połowie sparaliżowaną. Trudno mu było nawet wziąć coś do ust i przełknąć. Karetka pogotowia zawiozła go do szpitala w Rzeszowe. „Jakie choroby przechodził pan?" — dopytywali się lekarze. „Żadnych" — odpowiadał pacjent zgodnie z prawdą. Lekarze nie ustępowali jednak, zapytali co to za guz na głowie? Wtedy opowiadał jak został pobity rewolwerem przez gestapowca, jak pozostał mu od tego czasu guz, a uszkodzony nerw wzroku spowodował, że na jedno oko przestał dobrze widzieć. Szczegółowe badania kliniczne pacjenta wykazały, iż był to paraliż pourazowy; iż właśnie to pobicie „Huragana" w roku 1943 miało bezpośredni wpływ na stan jego zdrowia w roku 1982, a więc prawie czterdzieści lat później!

To prawda, że na wojnie są zwycięzcy. Ale jaka jest cena tego zwycięstwa?

JERZY POPOW

Maria Sarnecka

UPADEK I PERSPEKTYWY

O klubie „Ruch" w Pułankach mówi się już w czasie przeszłym. Pozostała po nim waląca się parterowa rudera ze szczątkami kominów, przeciekającym dachem, postępującym grzybem, przegniłymi podłogami, grożącym zawaleniem sufitem. Na niewielkiej scence — kilka instrumentów muzycznych. To dowód istnienia jedynego zespołu artystycznego we wsi — kapeli podwórkowej.

W sali byłego klubu — galeria wyrzutów sumienia. Wiszą tu bowiem dyplomy za czołowe miejsca w dawnym, dużym województwie rzeszowskim w konkursach na najlepszy klub: pierwsza lokata w roku 1970, trzecia — w rok później, czwarta — w 1973 r. Nagradzano ongiś prężną działalność koła ZMW na rzecz kultury. Z butwiejących dyplomów z trudem można odczytać o dobrej pracy różnych kół zainteresowań, m. in. kultury drogowej, TKKS, o osiągnięciach zespołów artystycznych.

Drugi powód do wyrzutów sumienia to kronika klubu — kronika wzlotów i upadków. Tworzy ją kilka tomów. Chudych w początkach — po roku 1966, kiedy klub założono, opasłych w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych i znów chudych na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Wpisy z pierwszych lat są wzruszające: „słuchamy radia, czytamy prasę. Dyskutujemy o książce... słuchamy płyt, frekwencja mała". Najlepsze były lata 1970—1972. Działało w Pułankach prężne koło ZMW i ono było inicjatorem większości działań kulturalnych. Impreza goniła imprezę. Spotkanie — spotkanie. Czasem sala nie mogła pomieścić wszystkich chętnych. Tu założono pierwszy w województwie Młodzieżowy Uniwersytet Kultury Świeckiej. Prasa regionalna i centralna zaszczycała klub zainteresowaniem, telewizja również.

Zaczął się regres. W 1977 r. ratowano życie kulturalne modną wówczas formą „teatru przy kawie". Były wyjazdy do „prawdziwego teatru". W dwa lata później nauczyciel Bolesław Pomian poprowadził teatrzyk kukiełkowy i odnosił sukcesy.

Potem rozpoczęła się długotrwała wegetacja placówki aż do momentu jej zamknięcia. Przestało istnieć dawne centrum życia kulturalnego wsi. Pozostała rudera strasząca przy drodze prowadzącej z Rzeszowa do Frysztaka. Wszystko wskazuje na to, że niebawem trafi pod spychacz...

I co dalej? Na zebraniach wiejskich wielokrotnie padała propozycja budowy w czynie społecznym pawilonu wielofunkcyjnego, w którym znalazłoby się również miejsce dla kultury. Ale czas leciał. Aż sprawa stanęła na forum organizacji partyjnej w kwietniu br. Niewielkie grono działaczy powołało do życia społeczny komitet budowy. Jego przewodniczącym został Kazimierz Piękoś. Osiedlił się on w Pułankach przed paroma laty; tutaj wybudował sobie komfortowy dom z wszelkimi wygodami, gazem, wodociągiem, łazienką. Zresztą takich domów we wsi jest bardzo wiele.

Przewodniczący wyciąga papierzyska na stół. — W ciągu zaledwie kilku miesięcy dwóch zaprzyjaźnionych ze wsią projektantów — Zenon Pelc i Zbigniew Staryszak opracowało dokumentacje budynku — wtrąca gospodarz.

Pan Kazimierz pokazuje plany obszernego obiektu.

— Co dla kultury?

— Na parterze zlokalizowana będzie klub-kawiarnia, na piętrze sala widowiskowa oraz pomieszczenia na biuro dla przyszłego kierownika Domu Kultury, sala do prowadzenia różnych kursów i spotkań a także pomieszczenie do gry w szachy, warcaby itp.

— Jak wieś przyjęła inicjatywę budowy tak obszernego budynku?

— Ludzie od lat mają świadomość potrzeby takiego obiektu. Bo przecież we wsi po zamknięciu klubu nie pozostało właściwie nic, nie ma tu ani sklepu, ani placówki kulturalnej, która by była miejscem spotkań i życia towarzyskiego. Budując tak obszerny obiekt chcemy upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Będą pomieszczenia dla kultury, ale i znajdzie tu miejsce handel.

Aktyw wiejski ustalił, że każda rodzina wpłaci na konto budowy po tysiąc złotych. Kazimierz Piękoś i jego zastępca w społecznym komitecie budowy obiektu, Piotr Sowa, chodzili od domu do domu i zbierali pieniądze. Wpłacający otrzymali pokwitowania. Strażacy przekazali 50 tysięcy złotych. Kółko Rolnicze zapowiedziało wpłatę takiej samej sumy. Chodzono po domach jeszcze raz i ludzie dawali znów po tysiąc złotych. Teraz trwa we wsi atmosfera wyczekiwania. Mieszkańcy Pułanek chcą jak najszybciej przekonać się, czy ich pieniądze nie poszły na marne.

Niedawno wprowadzono w życie nowe przepisy dotyczące inwestycji w czynie społecznym. Wieś musi wnieść 30-procentowy wkład do budowy obiektu. Nie ma już miejsca na fikcję, 30 procent to 30 procent... Przyjedzie specjalna komisja z gminy i oceni, czy tak jest faktycznie, a wtedy dopiero Pułanki mogą otrzymać dotację państwowe popierające czyny społeczne.

Kazimierz Piękoś proponuje spacer na plac budowy. By nadać range przedsięwzięciu u wejścia na plac umieścił napis informujący o tym, że jest to czyn społeczny dla uczczenia 40-lecia PRL.

— O proszę, za te zebrane od ludzi środki zakupiliśmy 6 ton stali zbrojeniowej. Rolnicy pomogli zwieźć 50 kubików piasku, 70 kubików żwiru. Własnymi siłami i przemysłem robię betoniarkę, by mniej budowa kosztowała. Mieszkańcy pomogli usunąć z placu linię telefoniczną i przeprowadzić linię energetyczną.

— Co więc stoi na przeszkodzie, by już ruszyć do roboty?

— Dyrekcja Okręgowa Dróg Publicznych w Rzeszowie postawiła warunek, by budynek wznieść 30 metrów od krawędzi drogi. Jest to zupełnie nie do zaakceptowania, bo nasza działka jest za mała.

— Wystosowałem pismo do DODP — wtrąca naczelnik gminy Frysztak Ryszard Lisak — by ponownie rozpatrzyła sprawę i zezwoliła na posadowienie budynku w odległości 25 metrów od drogi. Wszak cały szereg nowo wybudowanych domków jednorodzinnych stoi zaledwie 20 metrów od arterii komunikacyjnej. Gdyby podjęto decyzję dla nas pomyślną, wieś mogłaby od razu zająć się wznoszeniem fundamentów. Mieszkańcy Pułanek mają wiele zapału do pracy społecznej. Trzeba go cenić. Zbyt długie czekanie ludzi zniechęci...

Mieczysława Wójcik, wielce dla Pułanek zasłużona działaczka kultury i wieloletnia gospodyni nie istniejącego klubu, z nadzieją oczekuje na wzniesienie pawilonu: — Myślę, że znów odżyje zapał młodzieży do działalności na rzecz kultury, że zacznie ona znów organizować wiele imprez, że będzie można wrócić do tradycji świeckich zaręczyn, a młodzi z Pułanek przestaną szukać rozrywek we frysztackiej bazie gastronomicznej...

— Budowa pawilonu — mówi zastępca przewodniczącego ZSMP w Pułankach Marek Rutko — nie będzie tylko czynem społecznym dorosłych. My młodzi też chcemy mieć w tym swój udział. Mamy świadomość, że działalność organizacji nie może ograniczać się do dyskotek...

— Pułanki są aktywną wsią — mówi naczelnik. — Tam działa najprężniejsza w gminie organizacja partyjna, a podejmowane inicjatywy akceptowane są przez całą społeczność wiejską.

Wioska ma swój wkład w rozwój życia artystycznego i sportowego gminy. Tu zaczął działać teatrzyk kukiełkowy, który w momencie dla klubu „Ruch" krytycznym został przeniesiony do Zbiorczej Szkoły Gminnej we Frysztaku. W tym klubie po raz pierwszy w gminie spopularyzowano grę w tenisa stołowego, odbywały się rozgrywki i turnieje. Obecnie ta gra jest bardzo popularna wśród młodzieży szkolnej. W przyszłym roku we Frysztaku odbywać się będą Ogólnopolskie Mistrzostwa Młodzieży Szkolnej w Tenisie Stołowym.

A więc nie wszystko poszło na marne. Są tradycje, jest grono działaczy kultury, jest też młodzież, która dorobek „ruchowskiego" klubu będzie w przyszłości kontynuować i rozwijać. Stanie się to z pewnością w nowej i nowoczesnej placówce kulturalnej.

Nad książką

GAWĘDA SERDECZNA

Mówi się, że twórca po śmierci żyje nadal w swoich dziełach. Dodać trzeba, że nie tylko. Jego postać utrwalona jest w pamięci środowiska, przyjaciół. Otrzymaliśmy niedawno niewielką książkę dającą świadectwo tej pamięci. Michał Czartoryski, zasłużony pedagog i działacz społeczny, poświęcił ją pisarce Marii Siedmiograj, zmarłej przed siedmioma laty. We wstępie pisze:

„W moim zamyśle praca ta ma posiadać charakter wspomnieniowo-gawędziarski. Pisząc o bliskiej mi osobie, nie mogę pominąć jej twórczości literackiej, bowiem w ten sposób portret pisarki stanie się pełniejszy".

Z kart książki wyłania się więc postać Marii Siedmiograj, a jej portret staje się pełniejszy, moim zdaniem, właśnie dlatego, że autor wspomnień ukazał coś więcej z jej życia niż twórczość literacką. Jako pisarka, jako dyrektor „Kacperka" i reżyser była znana z wyników swej pracy i twórczości. Tylko nieliczni znali jednak jej drogę życiową, życie prywatne, wrażliwość, z której brały się tematy jej utworów dla dzieci i dorosłych. To przede wszystkim przybliża nam autor gawędy, sięgając do swoich wspomnień z okresu trzydziestoletniej znajomości i przyjaźni z pisarką. Jego gawęda jest barwna i wzruszająca, choć kreślona nader powściągliwie, prostym językiem. Chwile radości i smutku, osiągnięć i niepowodzeń splatają się w tej gawędzie, czynią ją plastycznym portretem. Michał Czartoryski nie nadaje Marii Siedmiograj posągowości, nie usiłuje postawić jej na cokole. Pisze po prostu o człowieku, którego darzył przyjaźnią i szacunkiem, a czyni to z niezwykłym ciepłem i zadumą. Poznajemy z kilkudziesięciu stron książki całe niemal życie pisarki. Bogata ikonografia uzupełnia słowo pisane, a obejmuje okres od roku 1928 do 1976.

Książka Michała Czartoryskiego przyjęta będzie z wdzięcznością przez nasze środowisko literackie, któremu poświęcała swą życzliwą działalność, a także przez czytelników, młodych i starszych, miłośników jej widowisk lalkowych, jej mądrych, pełnych żarliwego humanizmu książek.

Wdzięczność należy się też rzeszowskiemu Oddziałowi Krajowej Agencji Wydawniczej, który nam tę książkę udostępnia. Cieszy zapowiedź, iż jest ta książka pierwszą w zamierzonej serii „Ludzie rzeszowskiej kultury". Cenna to inicjatywa, gdyż mało jeszcze wiemy o ludziach, którzy kładli podwaliny życia kulturalnego, przyczyniali się do powstawania i rozwoju środowisk twórczych, ośrodka akademickiego.

Książka Michała Czartoryskiego pozwala mieć nadzieję, że cała seria będzie równie osobista i ciepła.

ZBIGNIEW KREMPF

(Michał Czartoryski, „Serce w herbie — Rzecz o Marii z Sienkiewiczów Siedmiograjowej", KAW Rzeszów, 1984, nakł. 5000+250 egz., cena 50 zł)

WRZESIEŃ MIESIĄCEM FILMU POLSKIEGO

▼ PIĘĆ PREMIER ▼ NOWE FILMY HOFFMANA BERA, PORĘBY, RYBKOWSKIEGO, DOMARADZKIEGO ▼ WZNOWIENIA NAJCIEKAWSZYCH POZYCJI Z OKRESU 40-LECIA ▼ FILMY DLA DZIECI ▼ ADAPTACJE LITERATURY ▼ WYBITNE KREACJE AKTORSKIE ▼ HISTORIA I WSPÓŁCZESNOŚĆ

Już tradycyjnie odbywa się co roku impreza filmowa pn. Wrzesień Miesiącem Filmu Polskiego. W tym roku będzie ona miała charakter uroczysty, gdyż łączy się z obchodami 40-lecia PRL i będzie okazją do prezentacji polskiej kinematografii z tego okresu. Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów w Rzeszowie wprowadza na ekrany kin wiele ciekawych i interesujących filmów. Jednym z nich to: KATASTROFA W GIBRALTARZE" w reżyserii Bohdana Poręby. Został zrealizowany na podstawie scenariusza prof. Włodzimierza T. Kowalskiego. Film obejmuje ostatnie lata życia i działalności generała Władysława Sikorskiego, szefa rządu emigracyjnego po kampanii wrześniowej i Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych. Kolejny to: THAIS prezentowany w ramach imprezy filmowej „Konfrontacje filmowe 83" w reżyserii Ryszarda Bera. Jest to film kostiumowy, który powstał na motywach powieści Anatola Francéa, a akcja rozgrywa się w IV wieku naszej ery w Aleksandrii. Są to miłosne losy pięknej kurtyzany uległej wobec fanatycznego mnicha. W roli głównej: Dorota Kwiatkowska i Jerzy Kryszak. Pozostałe to: WEDLE TWOICH WYROKÓW — dramat społeczny w reżyserii Jerzego Hoffmana. Historia żydowskiej dziewczynki, która po likwidacji getta ratuje łańcuch ludzi dobrej woli. „MARYNIA" — film kostiumowy zrealizowany z materiałów serialu telewizyjnego pt. „Rodzina Połanieckich" według powieści Henryka Sienkiewicza ze szczególnym uwzględnieniem wątku Maryni w reżyserii Jana Rybkowskiego. „PLANETA KRAWIEC" — dramat psychologiczny w reżyserii Jerzego Domaradzkiego. Scenariusz powstał na kanwie rzeczywistych losów krawca Adama Gedrysa ze Szczecinka, którego wewnętrzną przemianę i niespotykane hobby spopularyzował najpierw w reportażu, a potem w dokumencie telewizyjnym Ryszard Wójcik. Film ukazuje historię krawca, którego pasją stała się astronomia. Nagroda Jury Ekumenicznego — MFF Lokarno-83.

Wśród wielu wznowień zobaczymy filmy z okresu 40 lecia PRL i kilka z nich wymienię: ZAKAZANE PIOSENKI, SKARB, JAK BYĆ KOCHANĄ, PRZYGODA NA MARIENSZTACIE, SAMI SWOI, NIE MA MOCNYCH, KOCHAJ ALBO RZUĆ, OGNIOMISTRZ KALEŃ, KANAŁ, HUBAL, WESTERPLATTE, OSTATNI ETAP i wiele innych. Dla najmłodszych widzów przewidziano przegląd filmów dziecięcych, a będą to: KRÓL MACIUŚ I, HISTORIA ŻÓŁTEJ CIŻEMKI, AKADEMIA PANA KLEKSA, AWANTURA O BASIĘ, JEZIORO OSOBLIWOŚCI, I TY ZOSTANIESZ INDIANINEM i wiele innych atrakcyjnych pozycji.

Z adaptacji literatury pięknej ukażą się przede wszystkim filmy dla młodzieży szkół podstawowych i średnich, będące lekturą szkolną. Warto wymienić takie filmy jak: W PUSTYNI I PUSZCZY, KRZYŻACY, ZEMSTA, LOTNA, GRANICA, DOKTOR JUDYM, NOCE I DNIE, POTOP, PAN WOŁODYJOWSKI, CHŁOPI, DZIEWCZĘTA Z NOWOLIPEK, FARAON, LALKA, MAZEPA i inne.

Akcją Wrzesień miesiącem filmu polskiego objęto w naszym regionie 98 kin, w tym na wsi 43, w mieście 41 oraz 14 kin ruchomych. Filmy nowe i różne przeglądy tematyczne będzie można zobaczyć m. in. w takich kinach jak: Zorza i Apollo w Rzeszowie, Bajka w Mielcu, Pionier Krosno, Syrena Jasło, Bałtyk Przemyśl, Westerplatte Jarosław, Wisła Tarnobrzeg, Ballada Stalowa Wola, Syrena Staszów i w pozostałych kinach naszego regionu. We wrześniu ponowna okazja do obejrzenia filmów nowych i wznowień naszej rodzimej kinematografii.

IL.

Halina Szypulska

Potrzeba wspólnej troski

JAK POMÓC UCZNIOWI I SZKOLE?

Wprawdzie uczniowie odpoczywający na wakacjach nie myślą o stypendiach, stołówkach szkolnych, trudach dojeżdżania do szkół itp., ale chyba fakt, iż o tych formach pomocy socjalnej radził niedawno Komitet ds. Młodzieży, powinien ich cieszyć. Uczniowie mają wprawdzie swój resort, który dba o ich interesy, ale studenci obok resortu mają też i swoją organizację, która zgłasza postulaty, projekty, konsultuje i w ogóle rozmawia z władzami o studenckich sprawach. Dla młodzieży uczącej się taki komitet — rzecznik interesów uczniów — jest więc bardzo potrzebny. Na ogół prosi się bowiem uczniów o opinię, jak dzielić stypendia, czy jak uzdrowić szkolne stołówki.

Chociaż nie można powiedzieć, że młodzież „nie wypowiada się". Oczywiście, na swój sposób. Nie wykorzystuje miejsc w internatach, bo wobec wzrostu kosztów utrzymania w internacie i niskich stawek stypendialnych relatywnie tańszy staje się dojazd do szkoły z domu. Nie je obiadów w stołówkach szkolnych, bo są bezmięsne, a tylko uczniowie podstawówek są zwolnieni z obowiązku oddawania części kartek zaopatrzeniowych na mięso. Nie leczy zębów (na wsi próchnica obejmuje 70—80 proc. dzieci), bo o stomatologów niełatwo.

System opieki socjalnej nad dziećmi i młodzieżą, wspierający wysiłki rodziców służące prawidłowemu wychowywaniu, kształceniu i rozwojowi fizycznemu młodego pokolenia, powstał już w pierwszych latach Polski Ludowej. Wtedy przecież postanowiono, że szkoła ma być bezpłatna, a to oznaczało nie tylko zniesienie opłat za naukę, ale i zobowiązanie państwa do udzielania niezbędnej pomocy materialnej uczącej się i studiującej młodzieży. W ostatnich latach wprowadzono nowe formy państwowej pomocy socjalnej, a także powszechny system zasiłków i kredytów dla młodych rodzin wychowujących dzieci. Programami rządowymi objęto produkcję podstawowych artykułów niezbędnych dzieciom do lat 15. Wprowadzono płatne urlopy macierzyńskie i zasiłki wychowawcze.

Gdy jednak dziecko idzie do szkoły, wydatki rosną i wzrastają stale w miarę dorastania młodego człowieka. Państwo łoży więc poważne sumy na wszystko to, co pomaga rodzicom w doprowadzeniu dziecka do pomyślnego ukończenia szkoły. Przy obecnym stanie opieki socjalnej nad dziećmi i młodzieżą idzie właściwie o dwie rzeczy: o niezbędne zwiększenie dotacji budżetowych i o lepsze, efektywniejsze wykorzystanie wyłożonych już środków finansowych. Chodzi tu głównie o pokrycie rosnących kosztów dożywiania w stołówkach szkolnych — dla uczniów z najbiedniejszych rodzin; o finansowanie proponowanych przez resort oświaty i wychowania zmian w systemie stypendialnym; o środki na dowożenie uczniów do szkół związane ze wzrostem cen paliwa.

Jednakże nie zawsze sięganie do państwowej kiesy jest uzasadnione. Często trzeba po prostu większej inwencji, zaradności i wysiłku, by wykorzystać już istniejące środki finansowe. Bo cóż stoi na przeszkodzie, by lepiej zadbać o fatalny w niektórych szkołach stan higieny? Przecież kłopoty z mydłem i proszkami mamy szczęśliwie za sobą! A mimo to na ogólną liczbę przebadanych 400 000 dzieci, 1,6 proc. jest zakażonych wszawicą! Dlaczego w jednych województwach można było zatroszczyć się o dobre urządzenie miejsc oczekiwań dzieci na autobus — urządzono je nie tylko w szkołach, klubach rolnika i remizach strażackich, ale nawet w przedsionkach domów prywatnych — a gdzie indziej dzieci nie mogą się doczekać dachu nad głową na przystanku autobusowym? Dlaczego w szkołach tak kuleje profilaktyka, choć z lekarzami jest już znacznie lepiej: w roku szkolnym 1980/81, 85,4 proc. przedszkolaków i uczniów miało opiekę lekarską w szkołach. Ale lekarze nie mogą się jakoś dogadać z pedagogami. Nie uczestniczą w posiedzeniach rad pedagogicznych, nie informują więc wychowawców o zdrowiu uczniów. Z kolei wychowawcy nie informują rodziców. Ci nie dowiedzą się więc np., że dziecko ma płaskostopie. Niepokoją się o nie dopiero wówczas, kiedy ma gorączkę. Pewno lekarze i pedagodzy czekają, aż władze unormują odgórnie ich wzajemne stosunki: aż resort oświaty w porozumieniu z resortem zdrowia ułoży regulamin współdziałania szkolnej służby zdrowia, rodziców i nauczycieli.

Żarty żartami, ale brak inwencji w naprawianiu tego, co naprawić można bez odgórnych interwencji, regulaminów i zarządzeń po prostu zdumiewa. Tak samo zdumiewa indolencja dwóch wielkich wyspecjalizowanych instytucji zbiorowego żywienia — „Społem" i „Samopomocy Chłopskiej", które już od wielu lat przymierzają się do przejęcia akcji dożywiania uczniów.

Z całą pewnością obecny stan opieki socjalnej nad dziećmi i młodzieżą wymaga większych dotacji z budżetu państwa, ale także większego społecznego zaangażowania, zatroskanego wspólnego myślenia jak racjonalnie wykorzystać istniejące środki finansowe i formy opieki socjalnej. Jak pomóc szkole w tworzeniu warunków do pracy uczniów? Przecież nie zawsze chodzi o to, by rodzice deklarowali nową składkę pieniężną. Czasem stokroć ważniejsze jest ułatwienie przez handel dyrektorowi szkoły nabycia umywalki czy z przeproszeniem, miski klozetowej, bez których trudno o szkolną higienę.

Biuro Polityczne KC PZPR, oceniając ostatnio stan przygotowań do nowego roku szkolnego, uznało za niezbędną dalszą rozbudowę sieci szkolnej oraz podjęcie wszechstronnych starań w celu poprawy wyposażenia szkół w sprzęt i urządzenia socjalne. Oceniło też wysoko społeczną pomoc szkole, którą ożywiła szczególnie inicjatywa Rady Krajowej PRON o podjęcie Narodowego Czynu Pomocy Szkole. Powstało już wiele, a powstają dalsze, komitety budowy i rozbudowy szkół, na których konta napływają społeczne złotówki. Deklarowane są również konkretne prace i usługi. I chociaż działalność ta dotyczy na ogół najtrudniejszej sprawy — inwestycji w oświacie, to chyba apel PRON trzeba rozumieć znacznie szerzej — jako wezwanie do powszechnego wyjścia naprzeciw wszystkim najpilniejszym potrzebom szkolnictwa w każdym regionie, wsi, osiedlu czy dzielnicy. Społeczne działanie powinno wesprzeć realizację lokalnych programów rad narodowych, w których sprawy oświaty i szkolnictwa zajęły przecież ważne miejsce.

(Krajowa Agencja Robotnicza)

Janusz Termer

CO Z SAMODZIELNOŚCIĄ?

Bulwersująca wiadomość, pochodząca z Departamentu Ekonomicznego Ministerstwa Kultury i Sztuki, narobiła wiele „złej krwi" wśród działaczy kultury. Oto na naradzie dyrektorów domów kultury oznajmiono, że szykują się ograniczenia krępujące ich poczynania finansowe. Proponuje się mianowicie zniesienie prawa kierownictwa domów kultury do swobodnego dysponowania pieniędzmi pochodzącymi z tzw. dochodów własnych, czyli imprez organizowanych „dla ludności" (dyskoteki, kursy językowe, koncerty, filmy itp.).

Pamiętamy jeszcze dobrze te czasy, kiedy to — na początku lat siedemdziesiątych — namawiano domy kultury do prowadzenia tego rodzaju działalności, by przy zmniejszonych nakładach na kulturę, mogły jako tako funkcjonować dzięki własnym zyskom. Obecnie zyski te mają być objęte tzw. wskaźnikami dyrektywnymi, czyli mówiąc po ludzku, dom kultury nie będzie miał do nich pełnych praw. Wiadomość ta spowodowała duże poruszenie na wspomnianej naradzie dyrektorów, którzy złożyli formalny protest. Wniosek w tej sprawie złożyła także Narodowa Rada Kultury.

Dochody własne domów kultury nigdy nie były wielkie i nie wystarczały nawet w części na pokrycie potrzeb i wydatków. Niemniej jednak była to pewna forma samodzielności, pole do popisu dla inicjatywy i pomysłowości własnej. Uzyskane tą drogą środki przeznaczono na obozy szkoleniowe kadry, zatrudnienie dodatkowych instruktorów, lektorów, specjalistów-doradców. To się teraz może skończyć, bo nie będzie odpowiedniego „paragrafu", by na te cele wydawać przydzielone z Funduszu Rozwoju Kultury pieniądze. Po wtóre: komu będzie się chciało organizować dochodowe imprezy, skoro nic z tego nie będzie miał macierzysty dom kultury?

Pewnie, że często były to imprezy nie najwyższego lotu, niekiedy nawet wpływające jednostronnie na profil działalności placówki, jak np. popularne dyskoteki, czyli zwyczajne tancbudy, w jakie przeradzały się niektóre domy kultury. Mogło to nawet kolidować z normalną, programową działalnością, bo wiązało się na przykład z wynajmowaniem lokalu na inne niż kulturalne cele. Ale przecież dyrektorzy i kadra instruktorska placówek kulturalnych to nie nowicjusze w swej branży, nie umiejący pogodzić — a zdrowa to w sumie chyba była zasada — interesów kultury z interesem ekonomicznym prowadzonych przez siebie placówek.

To może się obecnie skończyć, jeśli wspomniane protesty i wnioski środowiska nie zostaną uwzględnione. Jeśli raz jeszcze „wyższy" interes ekonomiczny, czyli resortu, okaże się ważniejszy od interesu kultury, w której jest także — przynajmniej bywało dotąd — miejsce na myślenie i działanie samodzielne. A przecież, poza wszystkim innym, w grę — w porównaniu z dotacjami Funduszu Rozwoju Kultury — wchodzą sumy stosunkowo niewielkie, za które kierownictwo placówek kulturalnych kupowało sobie tę odrobinę komfortu psychicznego, jaki daje najmniejsza bodaj samodzielność działania. W każdej innej dziedzinie zresztą także. Wydaje się, że gra nie warta jest świeczki. Poczekajmy więc może na ostateczne rozstrzygnięcia w tej sprawie. Tak czy owak, będziemy do niej wracać.

(Krajowa Agencja Robotnicza)

Czesław Piotr Kondraciuk

PUNKTY ODNIESIEŃ

Wszystko ma swoje
punkty odniesień
Na przykład
nasze życie
trudne i zawiłe
od narodzenia
i miękką kolebkę
nad którą widać jeszcze
zmęczoną twarz Matki
brzmienie słów ciepłych
wtopionych w mrok wspomnień
trzaski ognia w kominie
syczenie czajnika
sprawy duże i małe
i miejsce na miłość...
Aż wreszcie
przyjdzie chwila
jak powódź lub zamieć
znaki życia zamaże —
jakby nic nie było

Jerzy Pitera

Ze zbioru „Wędka i Ekran"

„APOLLO" '44

To brzmi — jak kryptonim wyprawy kosmicznej, a w gruncie rzeczy idzie o rzecz znacznie skromniejszą — i małe kino rzeszowskie z sierpnia 1944 roku.

To wszystko stało się tak nagle, że gdy wyszliśmy z piwnic, po kilku dobach — otrząsając strach i napięcie, które bez przerwy nam towarzyszyło, patrzyliśmy z radosnym zdumieniem na opustoszałe i ciche bloki, zamieszkałe dotąd przez oficerów Wehrmacntu.

Na dziedzińcu dopalały się jakieś papiery, na balkonie u babci — leżało kilka odłamków pocisków — może jeszcze nie całkiem ostygłych. Ulicę Leszczyńskiego — przepełniała dzwoniąca w uszach cisza. Był drugi sierpnia 1944 roku. Wszystkie nasze dotychczasowe zmartwienia, kłopoty, problemy, „herbatole" i inne ersatze i w ogóle namiastka życia w czasie okupacji — stały się jakby złym snem, który wreszcie minął. Tylko — resztki różowych „bekantmachunków"* na słupach i płotach świadczyły, że nie był to sen.

Dużo rzeczy straciło swą ważność. Cieszyliśmy się. Oddychaliśmy głęboko jakby innym powietrzem, choć było ono przepojone zapachem spalonego prochu. My chłopcy — wciąż przecież jeszcze smarkacze — szaleliśmy po ulicach Rzeszowa, w poszukiwaniu odłamków i innych trofeów. Cieszyliśmy się z wakacji, jeszcze ciągle trwających, wysiadywaliśmy nad Wisłokiem słuchając sennego popyrkiwania „kukuruźników", łowiliśmy klenie na późne wiśnie i porzeczki. Piękny był sierpień tego pamiętnego rzeszowskiego lata. Niebo bez chmurki — a my beztroscy pod nim.

Nasze myśli coraz częściej kierowały się ku szkole, jako że godziny i dni szczęśliwego sierpnia w Rzeszowie uciekały szybko w ogólnej radości. I nagle dowiadujemy się, że otwarto kino „Apollo". Starając się jak najwierniej odtworzyć atmosferę tamtych sierpniowych dni określam to z perspektywy lat mianem wydarzenia. Miało ono miejsce 14 sierpnia 1944 przy ulicy Dymnickiego (dziś ulica W. Hibnera).

Premierowym filmem po 5 latach przerwy, kiedy to polskie „Apollo" stało się za sprawą okupanta kinem „Nur Für Deutsche", wraz z pierwszą polską Kroniką Filmową, była komedia przedwojennej produkcji polskiej pt „Robert i Bertrand" z H. Grossówną, A. Dymszą i E. Bodo w rolach głównych.

W przekonaniu — iż był to pierwszy film wyświetlany po wojnie w Rzeszowie — utwierdził mnie pierwszy kinomechanik „Apolla", rzeszowianin Jan Kyc, wówczas czterdziestodwuletni mężczyzna (zmarły w grudniu 1983 roku), który terminował w zawodzie od 13-tego roku życia, kiedy projektory kinowe były jeszcze na korbkę.

W 1944 Jan Kyc rozpoczął swą pracę na sprzęcie, który usiłował wywieźć uciekający w popłochu okupant. Projektory — już w pakach — na dworcu kolejowym zwinięto Niemcom spod nosa. Potem okazało, się że sprzęt jest częściowo zdewastowany. Aparatom projekcyjnym brakowało wielu elementów. Dorabiał je więc pracowicie po nocach pan Jan z kolegami, by jak najszybciej z małych okienek na tylnej ścianie widowni kina — wykwitły ruchome smugi światła, dostarczające jedynych w swoim rodzaju radości. Ludzie po okupacyjnym koszmarze walili do kina jak opętani.

Niezbyt szeroka ulica Dymnickiego była stale zatłoczona. Długie kolejki do kasy — maleńkiego okienka będącego tam, gdzie obecnie znajdują się gabloty z fotosami — mieszały się z tłumem oczekujących na ulicy otwarcia wąskiego wejścia, przed rozpoczęciem kolejnego seansu. To wejście było również wyjściem, toteż po każdej projekcji ulica Dymnickiego pękała w szwach. Zdobycie biletu w tych warunkach było nie byle jakim sukcesem, tym więcej że kosztował on grosze.

Nam, młodym, kino Apollo — zawróciło w głowie kompletnie. Nawet gdy nie zdobyliśmy upragnionych biletów stojąc normalnie w kolejce i tak byliśmy w niezłej sytuacji. A to podeszło się do kogoś starszego z ogonka i poprosiło błagalnym głosikiem o kupno biletu, a to wkręciło chytrze do kolejki blisko kasowego okienka, korzystając z mizernej postury. A byliśmy chudzi jak charty i jak charty mieliśmy szybkie nogi, co bardzo przydawało się, aby być pierwszym przy kasie i mieć wreszcie — ku zazdrości kolegów tę przepustkę do krainy marzeń, fioletowy prostokącik papieru. BILET DO KINA!

Pan Kyc opowiadał mi, że filmy przychodziły z Lublina. Po Rzeszowie czekały na nie inne kina Polski, toteż nie wyświetlano ich zbyt długo w kinie „Apollo". Nie wolno więc było niczego przegapić i tu także nasze szybkie nogi odgrywały znaczną rolę. Wymyśliliśmy „dyżury" na Dymnickiego, które były niepisaną umową i zawsze któryś z naszej szkolnej paki zaglądał, co też dzisiaj „grają". A „grali" dużo i ciekawie. Przeżywaliśmy głęboko dramaty wojenne i dokumentalne filmy z frontów, było ich sporo. W dużej grupie przedwojennych filmów polskich — królowały komedie z Adolfem Dymszą. Wspomniany „Robert i Bertrand", „ABC miłości", „Paweł i Gaweł", „Królowa Przedmieścia", „Bolek i Lolek" „Piętro wyżej". Trudno było się dostać na te filmy. Cieszyły się ogromnym powodzeniem. Było pilne zapotrzebowanie na śmiech. Wyświetlany później słynny „Pan Twardowski" (nie tak dawno przedstawiony w TV) spowodował niespodziewane dla naszego wychowawcy prof. Kusego — zainteresowanie się historią. Poza tym, oglądając ów film nie zdawaliśmy sobie wówczas sprawy, że z okazji jednego filmu patrzymy na plejadę wybitnych aktorów polskich. E. Barszczewską, M. Bogdę, M. Ćwiklińską, S. Jaracza, J. Węgrzyna i innych, w tym kreację, K. Junoszy — Stępowskiego w roli Mefistofelesa. Filmy z udziałem tego tragicznie zmarłego w czasie okupacji w Warszawie, wybitnego aktora, jak „U kresu drogi", czy tryptyk o chirurgu Wilczurze wg. powieści T. Dołęgi Mostowicza, również przewinęły wówczas się przez ekran — niewielki ekran kina „Apollo". Umieraliśmy w tym kinie ze strachu, pełni emocji, na przygodowych filmach amerykańskich „Królowa Dżungli" z Dorothy Lamour i Rayem Millandem i „Zew Pustyni" ze znanym śpiewakiem murzyńskim Paulem Robsonem w roli głównej. (Tych dwóch filmów nigdy już potem nie oglądałem ponownie). Byliśmy wszystkim zachwyceni, cielęco oczarowani — bo też byliśmy w cielęcej skórze. Sporo filmów z tamtego „Apolla" zdarzyło mi się widzieć po upływie znacznej ilości lat. Powtarzano je w kinach i emitowano w telewizji. I tu — rzecz dziwna — zauważając w wielu z nich po latach czy to niedostatki scenariusza, afektowaną grę aktorów lub wyraźne makiety, patrzyłem na nie jednak z pewnym rodzajem czułości. Inne z kolei doczekały się uznania ich za klasyczne dzieła sztuki filmowej, wielu aktorów wyróżniono w późniejszych latach, kilku otrzymało Oscary, jak np. Ray Milland za rolę alkoholika w filmie pt. „Stracony Weekend" B. Wildera. Wielu z nich nigdy nie powtórzono — jak wspomniany „Zew Pustyni". Wszystkie jednak, te pierwsze z sierpnia 1944 r., z małego ciasnego wtedy kina „Apollo" w Rzeszowie są dla mnie w ramce szczególnej — a w miarę upływu lat, jak to zwykle bywa, narastają na niej złote ozdoby wspomnień wydobywanych z odległego czasu.

*) Bekanntmachungi — niemieckie afisze informujące o egzekucjach. Na jednym z nich w 1944 roku zachowało się nazwisko dyrektora szkoły podstawowej bodajże tzw. ćwiczeniówki do której uczęszczałem na ul. Moniuszki w Rzeszowie podczas okupacji. Był to Rudolf Auriga, który został rozstrzelany przez hitlerowców jako żołnierz walczącego podziemia. W jesieni 1944 roku, odbyła się ekshumacja zwłok i uroczysty pogrzeb w Rzeszowie, na którym byłem wraz ze swoją klasą. Bekanntmachung — z nazwiskiem prof. Aurigi, odkryłem po wielu latach na wystawie martyrologii w Oświęcimiu. Jest tam do dzisiaj!

Balanse i NIUANSE

SKOMPLIKOWANE PYTANIE

W ubiegłym tygodniu „Rzeczpospolita" zamieściła wyniki swojej sondy, mającej dać odpowiedź na pytanie: „Czy opłaca się dobrze produkować?".

Pytanie, na pierwszy rzut oka retoryczne, na które nie oczekuje się odpowiedzi, okazało się jednak bardzo skomplikowane.

Ktoś stwierdził, że się opłaca, ale nie zawsze jest to możliwe. Ktoś drugi powiedział, że się nie opłaca, gdyż daje tylko satysfakcję moralną.

Wszystkie odpowiedzi miały właśnie ten tenor. Nie opłaca się, bo ceny są i tak umowne, bo dobra produkcja nie przynosi widocznych korzyści materialnych ani przedsiębiorstwu, ani załodze.

Czytałem i przecierałem oczy. Chyba po raz pierwszy konkretni ludzie z konkretnych zakładów produkcyjnych stwierdzali publicznie, że korzystniej jest wypuszczać na rynek wyroby złej jakości. „Dokumentowali" nawet szczegółowo, dlaczego tak jest. Wymieniano oczywiście także warunki, od których zależy dobra produkcja. Jest to cały ciąg przyczyn i skutków, zaczynający się na wzorcztwie, założeniach konstrukcyjno-technologicznych, a kończący na wykonawstwie produktu finalnego, kontroli jakości itp. Przeczytałem też, iż odstępuje się od kar za złą jakość, aby „nie zrażać do siebie wszystkich kontrahentów, którzy dostarcza nam źle wykonane elementy".

Na jakim świecie my żyjemy? Wciska nam się buble i wmawia, że inaczej się nie da. Produkt i tak już drogi, kosztuje jeszcze więcej, bo trzeba doliczać koszty napraw gwarancyjnych i tak w kółko. A w sumie zakładom to się podobno opłaca.

Ostatnia wypowiedź wyszła z ust dyrektora Centralnego Biura Jakości Wyrobów, który przypomniał, że „od 1 lipca weszły w życie nowe przepisy określające sankcje ekonomiczne w stosunku do producentów wyrobów nie posiadających świadectwa kwalifikacji jakości. Oczywiście tych wyrobów, które objęte są obowiązkiem kwalifikowania".

Jest to jakaś pociecha, tylko podejrzewam, że wielu producentów badziej będzie się głowić nad sposobami obejścia przepisów niż nad ich przestrzeganiem. Przypominają mi te (inne zresztą także) przepisy tor slalomu narciarskiego. Cały rząd tyczek, bramek, a nagradzani są ci, którzy zdołają przybyć do mety ominąwszy owe tyczki i bramki. Mają też przepisy to do siebie, że są z reguły słuszne, a ich słuszność uznają kontrolujący, zaś kontrolowani jak gdyby mniej.

Brak motywacji, mówi się często, bowiem mamy nowe słowo — wytrych, które wiele rzeczy sankcjonuje. Mówi się o tej motywacji, odmienia ją we wszystkich przypadkach, ale nie bardzo wiadomo, na czym ma ona polegać. O przepraszam. W styczniu wyszła ustawa o systemie płac, który daje przedsiębiorstwom niemal wolną rękę w gospodarowaniu sumami przeznaczonymi na pobory. Ustawa w styczniu, a jak wynikało z piątkowego „monitora rządowego", odnośne władze nie opracowały dotąd wszystkich aktów wykonawczych. Co najmniej jeden element motywacji leży zatem w czyimś biurku.

Sytuacja jest taka, że trudno dostrzec zbliżanie się inicjatyw odgórnych z oddolnymi. Mało się słyszy, aby załogi uparły się, iż nadadzą produkcji swoich zakładów taką markę, która rzuci na kolana i konkurentów, i handel, i kupujących. Wynika z tego wszystkiego, iż to retoryczne pytanie: „czy opłaca się dobrze produkować"? czekać będzie jeszcze długo na jedynie możliwą odpowiedź. Chyba, żeby odżył honor zawodu, żeby odżyło utożsamianie się z własnym zakładem pracy, żeby każdy członek załogi z dumą mówił: ja to wyprodukowałem.

PASSUS

wiadomości samowolne

NOWY REKORD!

Rekord w dostarczaniu przesyłek pocztowych, o którym niedawno informowaliśmy, został pobity.

List, wysłany z Katowic w dniu 27 lipca br. dotarł do Rzeszowa już 22 sierpnia. Zastanawiamy się, czy to nie nasza notatka pobudziła ambicje pocztowców. Czekamy na dalsze osiągnięcia!

TRESUJMY JASTRZĘBIE

Słyszy się nieustanne utyskiwania na machlojki z benzyną. Kontrole, przeprowadzane od czasu do czasu na stacjach benzynowych, ujawniają nieprawidłowości, „przecieki" paliwa poza reglamentacją itp. Niestety, ani kontrole, ani nakładane kary nie przeciwdziałają dostatecznie nieuczciwości.

Aby pomóc komu trzeba we właściwym rozprowadzaniu paliw płynnych, oferujemy bezinteresownie naszą radę: należy hodować i tresować jastrzębie, które podobno świetnie sobie radzą „w temacie" paliwo.

Nie chcąc, żeby posądzano nas o gołosłowne twierdzenia, podajemy źródło naszej wiedzy. Otóż w powieści (kryminalnej notabene) pt. „Mord na safari", przeczytaliśmy:

„... Lady Baradale była bardzo wymagająca. Pilnowała zużycia paliwa jak jastrząb".

Skoro angielska lady brała przykład z jastrzębi, nas może być stać na zastosowanie ich do pomocy bezpośredniej. Mogą okazać się tańsze niż zastępy kontrolerów.

PEŁEN OPTYMIZM RAZ JESZCZE

Otrzymaliśmy kopię listu, wysłanego przez kierownika zakładu handlowo-usługowego elektroniki przy ul. Rejtana w Rzeszowie do dyrektora Wydziału Drobnej Wytwórczości i Usług UW w Rzeszowie. List jest odpowiedzią na pismo tegoż Wydziału, dotyczące naszej notatki pt. „Pełen optymizm".

Odpowiedź tę przytaczamy w całości.

„W odpowiedzi na Wasze pismo nr DW-V-7644-6/84 informujemy uprzejmie, że notatka w Dzienniku „Nowiny" z dnia 7.08.1984 r. nie dotyczy naszego zakładu, który mieści się przy ul. Rejtana 51. Dotyczyła ona zakładu „Unitra-Serwis" przy ul. Wincentego Pola 11a w Rzeszowie. Między naszymi zakładami nie ma podległości służbowej, ponieważ od 1982 r. zlikwidowany został Zespół Zakładów Techniczno-Handlowych Elektroniki w Rzeszowie. W związku z tym o wyjaśnienie przedmiotowej sprawy prosimy zwrócić się bezpośrednio do Zakładu Usługowego „Unitra-Serwis" przy ul. Wincentego Pola. Prosimy na przyszłość o wyraźne rozgraniczenie naszych zakładów, działających niezależnie od siebie, aby niepotrzebnie nie podrywać autorytetu zakładowi, który nie ma nic wspólnego z opisanymi nieprawidłowościami".

Przypominamy, iż rzecz dotyczyła kłopotów naszego Czytelnika z naprawą telewizora, nieuprzejmej obsługi itd.

Przypominamy, iż napisaliśmy: „czytelnik skarży się na serwis „Unitry" przy ul. W. Pola w Rzeszowie".

Widocznie w Wydziale Drobnej Wytwórczości i Usług przeoczono ten konkretny adres, albo też Wydział nie wie dotychczas o reorganizacji, dokonanej dwa lata temu. Mimo to wypada podziękować Wydziałowi (także w imieniu Czytelnika), iż na naszą notatkę zareagował.

Podziwiamy natomiast zakład usługowy przy ul. W. Pola.

Za kamienny spokój, za przewidzenie, iż notatka spowoduje „przyłożenie" komu innemu.

SPÓR

Jeden z naszych najwytrwalszych Czytelników zwrócił nam uwagę na tytuł z 1 str. „Nowin" w dniu 25 sierpnia br., w którym występował termin „mikroelektronik". Nasz czytelnik uważa, że nie brzmi to zbyt dobrze, że sugeruje, iż obok mikro- istnieją także makroelektronicy, że mikroelektronik oznacza elektronika bardzo małego.

Głowimy się nad zasadnością zarzutu, szperamy po słownikach. Znaleźliśmy już „mikrobiologa", ale żadnej innej specjalności połączonej z przedrostkiem „mikro".

Jedyna nadzieja w rozwoju naszego języka specjalistycznego. Skoro mikrobiolog zajmuje się drobnoustrojami, skoro dowiedzieliśmy się, że mikroelektronik zajmuje się mikroelektroniką, to należałoby pomyśleć i o innych specjalnościach. Lekarza chorób dziecięcych można nazwać mikrolekarzem, dyrektora małego zakładu — mikrodyrektorem, architekta, projektującego domki jednorodzinne mikroarchitektem i tak dalej.

Wcale nie kpimy. Jesteśmy po prostu w rozterce.

PROGNOZA POGODY

Im głębiej we wrześniu grzebią się robaki, tym srożej się zima da ludziom we znaki.

We wrześniu, gdy tłuste ptaki, mróz w zimie nie lada jaki.

Podsłuchuje, gdzie rzucą wysokojakościowe mięso?

Fot. CAF — B. Miedza

Dzień świętego Idziego gdy się wypogodzi, cztery niedziele potem pogodą dogodzi.

Przytaczając te przysłowia, pragniemy włączyć się aktywnie do prognozowania pogody. Wszelkie reklamacje możemy publikować, ale nie gwarantujemy pozytywnego załatwienia.

HASŁO TYGODNIA

Bądźmy kowalami własnego losu. Zakładajmy prywatne kuźnie.

Redaguje Serwacy Potulny z podzespołem.

PTAKOteka

KWICZOŁ
/TURDUS PILARIS/

Z ŻYCIA POLONII

URUGWAJ

ZJEDNOCZENIE TOWARZYSTW POLSKICH

Zjednoczenie Towarzystw Polskich w Urugwaju skupia przedstawicieli społeczności polskiej w Montevideo. Jest to organizacja o charakterze kulturalnym. Organizuje wieczory muzyczne, odczyty i pogadanki historyczne dla młodzieży. W ramach organizacji działa biblioteka gromadząca pozycje z polskiej klasyki, a także wybór książek z najnowszej historii Polski.

USA

POLSKA BRATNIA POMOC

Na terenie San Francisco działa Polska Bratnia Pomoc, powstała w grudniu 1978 roku. Organizacja świadczy pomoc na rzecz Polaków zamieszkałych w San Francisco. Inspiruje również imprezy kulturalne mające na celu integrację społeczności polonijnej. M. in. staraniem PBP odbył się koncert galowy w Davies Symphony Hall dla uczczenia pamięci I. Paderewskiego.

SZWECJA

WARSZAWSKI KRZYŻ POWSTANCZY

W ambasadzie PRL w Sztokholmie odbyła się uroczystość wręczenia przedstawicielowi Polonii Szwedzkiej, Klemensowi Chacińskiemu Warszawskiego Krzyża Powstańczego, nadanego mu przez Radę Państwa za czynny udział w powstaniu warszawskim.

K. Chaciński, pseudonim „Sokół" uczestniczył jako szeregowy I plutonu 3 kompanii batalionu AK „Kiliński" w walkach w rejonie ulic Górskiego, Brackiej, Nowego Świata i placu Grzybowskiego. Po upadku powstania przebywał w hitlerowskim obozie jenieckim.

WIELKA BRYTANIA

50 ROCZNICA ŚMIERCI MARII SKŁODOWSKIEJ-CURIE

Staraniem Fundacji im. Marii Skłodowskiej-Curie działającej w Wielkiej Brytanii odbyła się w Londynie uroczystość związana z 50-leciem śmierci wielkiej polskiej uczonej. Na uroczystość przybyła królowa matka Elżbieta, która jest honorowym patronem Fundacji.

WARSZAWA

POLONIJNE NAGRODY IM. OSKARA KOLBERGA

Po raz dziesiąty przyznane zostały nagrody im. Oskara Kolberga dla osób zasłużonych w dziedzinie kultury ludowej. Obok wielu krajowych twórców i działaczy, wśród wyróżnionych znaleźli się zasłużeni działacze i zespoły polonijne: Władysław Cuber — założyciel i kierownik Zespołu Pieśni i Tańca „Mazur" z Bredy w Holandii, Paweł Dubicki — kierownik Zespołu Pieśni i Tańca „Biały Orzeł" z Toronto w Kanadzie, Polski Zespół Ludowy Pieśni i Tańca „Wilia" z Wilna (ZSRR) i Polski Związek Kulturalno-Oświatowy z czeskiego Cieszyna w CSRS.

(Opr. LR)

Listy do przyjaciela

„Byłbym szczęśliwy, gdybym był cielakiem, z którego skóry pańskie buty wyprawiono".

Miał to powiedzieć Gabryelski, waląc się na klęczki przed Przybyszewskim, onże sam sprzedawca fortepianów, co podarował czarnego Petrofa w hołdzie Stasinkowi, jako pierwszy sprzęt do krakowskiego mieszkania i onże sam po paru miesiącach wkraczający w jedną z pijanych nocy wraz z czterema tragarzami, by Petrofa odebrać na znak skończonej przyjaźni. I onże sam, co wyrzucony z łóżka znanej aktorki, jak stał (a raczej: jak leżał) — zapukał do sąsiednich drzwi, z flegmą prosząc o pożyczenie „spodni na chwilę". I onże sam, co w parę lat później, gdy już handlował pianolami, w upiornych dźwiękach mechanicznego pianina, stojąc przy oknie swego mieszkania w Rynku, z którego majaczył widok na kopiec Kościuszki, tuż przed świtem palnął sobie w łeb; znaleziono go w tym samym pokoju, gdzie w słojach z formaliną pływały foetusy, o których mawiał zimno: to są, proszę państwa, moje dzieci...

Czy Gabryelski był bęcwał, czy też psychopata — nie warto się chyba zastanawiać. Ale to tacy właśnie tworzyli atmosferę fin de siecle'owego Krakowa, w którym tak pięknie się przyjął Stanisław Przybyszewski, smutny szatan, zakładający bractwo dzieci Szatana.

Jest coś nienormalnego w tej adoracji powszechnej, na jaką zdobył się wobec powracającego z Berlina pisarza zatęchły Kraków; ktoś wynajmuje mu mieszkanie przy zbiegu ulicy Siemiradzkiego i Karmelickiej, ktoś inny funduje meble, pierwszy potężny mebel wtaszcza sam Gabryelski, jeszcze inni, z poczciwym Sewerem na czele, powierzają mu redakcję „Czasu", nobliwe mieszczaństwo wali ławą na odczyty o nagiej duszy, z nabożną czcią zagląda do salki w kawiarni Turlińskiego, gdzie pod nonszalanckim pawiem dokonują się czarne msze opilstwa, rozwala się potężny grubas Stanisławski, rysuje to bractwo sam Wyspiański, podgląda okiem karykaturzysty złośliwy Sichul, strumieniami dźwięków wybucha muzyka Szopena, pieśni Griega, transfiguruje szaleńczo rodzimy kujawiak.

Potem od Turlińskiego przenoszą się na ulicę Siemiradzkiego, za ścianą płacze paromiesięczna Iwi, której dopiero co urządzono chrzest w kościele mariackim, w którym znowu zgodnie uczestniczył bez mała cały Kraków, tam zasiada do fortepianu Stach na zmianę ze Stasinkiem, pod stołem koncertuje na skrzypcach o blat zahaczając smykiem Sierosławski, wśród zzielenialych twarzy dziwacznych gości snuje się Dagny Juel, obca, nie znająca języka, już pomału wyłączana z tego morza polskości, które tak upoiło pisarza w ostatnich dwu latach ubiegłego wieku.

Gdzieś z kąta popatruje za nią zza okularów poeta przeklętego pokolenia — Stanisław Brzozowski, już pewnie obmyślając samobójstwo; oparty o futrynę Władek Emeryk, osiemnastolatek, ani wie jeszcze, że za dwa lata odbierze Iwi matkę w morderstwie i samobójstwie, jakie raczył uznać za jedyne wyjście ze skomplikowanej sytaucji, do dziś nie wiadomo czemu.

Dzwony na Anioł Pański zastają co rano ten sam obraz pobojowiska; jakie tam musiały być kace, Przyjacielu, jakie lęki poranne, jaka nieochota — tego już żadne pióro nie opisze!

Boy pisał, że wraz z przyjazdem Przybyszewskiego, wiatr nowy powiał nad Krakowem i przewietrzył stęchłe mury.

Gdy się dziś czyta te wspomnienia, trudno zrozumieć, iż jeden człowiek potrafił tak zbulwersować miasto, obwarowane szczelnie pancerzem mieszczaństwa. Musiał to więc być rzeczywiście człowiek o wielkiej osobowości i szalonym darze zniewalania otoczenia.

Oglądaliśmy ostatnio dwa filmy o epoce młodopolskiej: jeden, gdzie Przybysza grał Jan Nowicki, drugi — z Danielem Olbrychskim, oba niezbyt utrafione w obsadzie, choć jeden w klimacie dużo bardziej bliskim naszym wyobrażeniom o dzieciach szatana niż wczorajsza „Dagny", czyli film-gnieciuch, zrobiony ciężką ręką w kooprodukcji z Norwegami.

Dużo się o nim słyszało, gdy powstawał, gdy rekonstruował krakowską epokę, tymczasem niedzielny wieczór, gdy go wczoraj wyświetlono, oferował nam jeszcze jedną piłę o sławnym człowieku. Lała się tylko wóda strumieniami, niebrzydkie ciało demonstrowała Dagny — i to było raczej wszystko co Ścibor-Rylski zamknął w scenariuszu, ciężkim, niezgrabnym, przekazującym potomnym sylwetkę tchórzliwego pijaczka z przełomu wieków.

Koń, każdy wie, jaki jest — ta złota myśl raz jeszcze zapracowała. Drogi, niemożnością przekazania ducha epoki oraz niezwykłej osobowości tego pisarza, który skończył się wraz z powrotem do Polski i polskiego języka. Pisarza w gruncie rzeczy zapoznanego, którego utworów po polsku nie da się czytać, tak są niedobre i manieryczne, zaś to co stworzył po niemiecku, nikt dotąd nie pokusił się przetłumaczyć z dbałością o artyzm.

Istnieją tylko te tłumaczenia, o których Boy powiada, że powstawały pod wpływem butelki, stojącej obok rozłożonej książki. Kto chciał z uczniów, wypijał potężny łyk i tłumaczył parę zdań dalszego ciągu „Trylogii"... Stacha to bawiło i śmiał się swoim słynnym demonicznym — he, he, robaczku — jakby cieszyła go ta samozagłada, jakby celowo chciał niszczyć własne dzieło.

Pozostała więc nam dalej tylko legenda, opowiedziana genialnie przez Boya, plotka, która blednie, parę niewytłumaczalnych faktów, dziwacznych zachowań. A także pewność przeczucia, że był to jeden z najmniej szczęśliwych ludzi na ziemi.

KRYSTYNA